№ 50. Warszawa, dnia 10 Grudnia (28 Listopada) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi
Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ:

Z powodu zbliżającego się nowego roku, prosimy szan. abonentów o wczesne i, jeżeli można **bezpośrednie**, nadsyłanie przedpłaty według warunków w nagłówku **Prawdy** oznaczonych. Wtedy jedynie możemy żądaniom szybko i w porę zadośćuczynić.

O PRZYSIĘGĘ.

Znanym powszechnie jest głośny wypadek w parlamencie angielskim, w którym niejaki Bradlaugh odmówił złożenia przepisanej przysięgi religijnej, powołując się na prawa swobody swego sumienia. Podobny wypadek zdarzył się świeżo w Holandyi. Dr. Hartog Heys van Zouteveen, wybrany do rady miejskiej w Assen, założył tenże sam protest. Z obu stron — zachowawczej i wolnomyślnej — zagrzmiała wrzawa, skutkiem której minister sprawiedliwości (liberalny) został zainterpelowany w Izbie. Odpowiedź jego sprawiła niespodziankę liberałom; minister bowiem oświadczył się za przysięgą religijną. W zapalonych przez ten fakt utarczkach spór przeniósł się z pola parlamentarnego na literackie, gdzie wkrótce z pod pióra znanego adwokata amsterdamskiego I. A. Levego wystrzelił traktat p. t. *Anathema sit! — Een protest.* Ponieważ w tym proteście zniknął holenderski deputowany, a wystąpiła sprawa ogólnego znaczenia — więc posłuchajmy.

Bezwzględne usunięcie przysięgi jest, według Levego, koniecznem. Gwałci ona bowiem sumienie ludzkie, które musi się przeniewierzać sobie. Jeżeli znieśliśmy tortury cielesne, powinniśmy również znieść moralne. Zresztą przysięga straciła nietylko prawo, ale racyę bytu. Używaną jest ona jako probierz prawdomówstwa. Ale któż strzeże tego stróża? Nawet ze stanowiska religijnego nie powinniśmy zapominać o słowach Chrystusa: „wasze *tak*, jest *tak*, wasze *nie*, jest *nie*." Odkładając na później dalsze reformy w tym względzie, natychmiast domaga się autor wprowadzenia zasady, pozostawiającej każdemu w Holandyi zupełną swobodę wykonania lub niewykonania przysięgi. Państwo — mówi on dalej — jest dziełem ludzkiem, do ziemskiego celu przeznaczonem i do niego jedynie zdolnem. Nieszczęsne próby wyknięcia państwu wyższych przeznaczeń wyważały je zawsze z kolei. Usiłowanie to zrodzone z nierozsądku ludzkiego musi płodzić błędy. I nietylko błędy, ale także żarliwość, sekciarstwo, fanatyzm, prześladowanie. Czyż historya nie roi się przykładami? Czyż własne nasze dzieje nie brzmią okrzykami wojennymi walczących z sobą *in majorem Dei gloriam* teologów? „Przez szacunek więc dla pojęcia Boga i wyobrażenia o nim w jednostkach stronnictwo liberalne domaga się usunięcia przysięgi ze wszystkich dziedzin, oraz uwolnienia życia i zarządu państwa od wszelkich resztek klerykalnych. Tym sposobem stawia ono Boga po nad społeczeństwem i przyczynia się do prawdziwej dla niego czci." Przekonanie, każde przekonanie winno być uprawnione. Minister (holenderski) powiada: Usuńmy myślą z historyi nauk osobistości religijne, zatraćmy Pytagorasa, Sokratesa, Platona, Arystotelesa, Kopernika, Keplera, Newtona, Leibnitza — co nam pozostanie? Büchner ze swoją *Siłą i materyą*. Czy rzeczywiście? — pyta Levy. Czy wybierać możemy tylko między płytkim, czczym i ateistycznym materyalizmem i teologią? Czy po odjęciu wspomnianych mężów pozostanie nam wreszcie sam Büchner? A Kant? Kant, który był tem w filozofii, czem Kopernik w astronomii, który rozproszył wszelkie brednie *pragnieniem* Boga? Kant, który z zaciekłą nienawiścią prześladowany przez pokonanych a ślepych teologów, urągał ich „mędrkowaniu?" Czy może pan minister ma smutną odwagę tego reformatora świata, duchowego ojca filozofii natury i prawoznawstwa — napiętnować również jako ateistę? „Jedno tylko miejsce znajduję w dziełach Kanta, dotyczące przysięgi. Powiada on: „Środek wymożenia prawd w oświadczeniach zewnętrznych, przysięga (*tortura spiritualis*) uważana jest nietylko za dozwoloną przed sądem ludzkim, ale za nieodzowną — smutny dowód małego szacunku ludzi dla prawdy, nawet w świątyni sprawiedliwości publicznej, gdzie samo o niej pojęcie winnoby już budzić największe uszanowanie." A więc uszanowanie idei sprawiedliwości, niewzruszone, głębokie i wszystkich przenikające poczucie obowiązku — oto jest zasada filozofii, która nie grozi piekłem i potępieniem oraz nie używa istoty najwyższej do usług ziemskich.

Tyle Levy.

Jak w sonecie Mickiewicza „polip, co spi on dnie, gdy się niebo chmurzy, a na ciszę długiemi wywija ramiony," podobnie i ta kwestya — czy ją podnosi Bradlaugh czy Heys van Zouteveen — zawdzięcza swój rozgłos „ciszy" morza politycznego. Spokojne jego fale dozwalają wydobywać się przeróżnym tworom, a nawet gdy tu i owdzie burza się zerwie, szybko milknie. Mimo zawichrzeń w Niemczech, wojny w Tunisie, rozruchów na półwyspie bałkańskim i jeżenia się Rumunii, w Europie panuje spokój. Wywabione jego ciepłem sprawy, w głębiach cywilizacyi ukryte, ogólno ludzkie, od podziałów politycznych niezależne, wypływają na wierzch i ściągają na siebie zmordowaną dyplomatycznemi sztukami uwagę ogólną. Taką sprawą

stała się, między innemi, kwestya przysięgi. Z tem zagadnieniem, prędzej czy później, spotkać się i rozwiązać je musi każdy naród. Jestto zastarzałe wiązadło życia, którego ominąć lub lekceważyć niepodobna. Nie podznaczamy go z naciskiem w naszych stosunkach, bo nie jest najpilniejszem, a tyle mamy jeszcze przejść innych, ważniejszych stopni dla doścignięcia innych narodów! Zresztą podobne kwestye mogą być jedynie przedmiotem naszego rozmyślania teoretycznego. Naród wszakże, a raczej jego część oświecona, do której jedynie przemawiać zwykliśmy, winna uprzytomniać sobie pola, na których bój cywilizacyjny się toczy. Jednem z takich pól jest właśnie obowiązek przysięgi religijnej.

W. W.

O ODRODZENIU SIĘ NARODOWOŚCI SERBO-ŁUŻYCKIEJ w ostatnich latach 50-ciu*).

I.

Serbowie łużyccy, przez niemców Wenden lub Sorben zwani, są pozostałością licznego niegdyś plemienia słowian zachodnich — syrbów, zamieszkujących ziemie nadłabiańskie i graniczących podówczas z polskiem plemieniem szlązanów na wschód, z niemcami na zachód i z czechami na południe.

Brak spójni politycznej pomiędzy pojedyńczemi gminami i żupami i ciągłe waśnie plemienne otworzyły tam drogę panowaniu niemieckiemu, które, począwszy od Henryka Ptasznika (t. j. od w. X) coraz trwalsze zapuszczało korzenie. Wprawdzie na początku wieku XI zdobył ziemie serbo-łużyckie Bolesław Chrobry i na mocy pokoju budyszyńskiego, z cesarzem niemieckim zawartego, wcielił je do swego państwa; lecz już Mieczysław II ziemie te utracił, a oddawszy je Dietrichowi, hrabiemu turyngskiemu, do szybkiej tam kolonizacyi niemieckiej pośrednio się przyczynił. Od chwili owej wyższe stany niemczą się, ziemia przechodzi na własność cudzoziemców, a przygnębiony poddaństwem lud łużycki traci zupełnie prawie samowiedzę narodową.

*) W numerze 9 *Prawdy* pomieściliśmy artykuł p. A. A. Kryńskiego p. t. „Z życia serbów łużyckich.“ Praca obecna rozszerza go i dopełnia wielu szczegółami (*Red.*)

Opłakany stan ten najmniejszego obecnie ilościowo szczepu słowiańskiego trwa przez wieki całe; aż wreszcie budzi się on z długiego uśpienia za czasów już naszych. Patrząc na odradzanie się pobratymczych mu narodowości: czeskiej, chorwackiej, słoweńskiej i innych słowian, pragnie, jak one, rozwijać się bardziej samodzielnie i wyłamać się z pod wiekowego jarzma szczęśliwych swych zdobywców.

Obecnie dzielą się serbowie łużyccy na górno i dolno-łużyczan; liczba ich wynosi 172.000: z tych 53.000 mieszka w Saksonii a 48.000 w pruskiej części Górnej Łużycy; resztę stanowią serbowie Dolnej Łużycy, w całości do Prus należącej [1]). Głośny pisarz niemiecki Ryszard Andree w broszurze swej o serbach łużyckich traktującej, (*Wendische Wanderstudien*, Lipsk 1868), mówi, że narodowość łużyczan „w śnie błogim już jest pogrążona.“ Później atoli zmienił on zdanie w tym względzie, twierdząc przy opisie sprawy językowej w Irlandyi, że milion przeszło używających w rozmowie własnego języka irlandczyków daleko prędzej go zarzuci, a natomiast angielski przyjmie, aniżeli nieliczący 200.000 lud łużycki będzie można zniemczyć. Winnem zaś miejscu tenże Andree powiada, iż jest dla niego zupełną zagadką dotychczasowe trwanie przy narodowości swojej serbów łużyckich, których liczba nietylko się nie zmniejsza, lecz przeciwnie, z rokiem niemal każdym wzrasta.

Dla częściowego wyjaśnienia tej zagadki zdaje nam się koniecznem powiedzieć nieco o tych czynnikach, które najbardziej przyczyniły się i przyczyniają do odrodzenia samowiedzy narodowej łużyczan t. j. o stowarzyszeniach naukowych, pismach peryodycznych i o narodowym teatrze.

[1]) Religię wyznają po części protestancką (158,000) po części zaś katolicką (14,000).

Zanim jednak przystąpimy do rzeczy, postaramy się określić w kilku słowach powstanie stowarzyszeń studentów niemieckich, Burszenszaftami zwanych, których działalność *pośrednio* wpłynęła na ten szybki rozwój umysłowy łużyczan, jaki się teraz zauważyć daje.

Gdy naród niemiecki zdołał się otrząsnąć z poniżającej go gospodarki Napoleona, do której wzajemna niezgoda samych państw niemieckich, jak wiadomo, niemało się przyczyniła, wówczas to studyująca młodzież niemiecka, na początku drugiego dziesiątka stulecia bieżącego, przyszła wreszcie do przekonania, iż ogólno-plemiennej nienawiści, będącej podówczas oznaką plemiennego patryotyzmu, winna ustąpić miejsca miłość, a niemiecka jedność wyrugować partykularyzm. Tak więc owi młodzi patryoci, noszący nazwę „Burschenschafter,“ wszystkie plemiona niemieckie, jako też i religie przez nich wyznawane za równouprawnione uznali i starali się, o ile mogli, myśl tę praktycznie w stowarzyszeniach swych zastosowywać. Każdy z nich, kochając bardzo swoje szwabskie, bawarskie lub saskie plemię i będąc szczerze przywiązanym do swej ściślejszej ojczyzny i wiary, winien był szanować i cenić patryotyczne i religijne przekonania innych. Wszyscy razem działali wciąż na korzyść narodowej zgody i jedności, która miała kiedyś założyć podwaliny niemieckiemu cesarstwu. I w rzeczy samej, nie bacząc na prześladowania, jakie Burszenszafci przeważnie od rządu pruskiego ucierpić musieli, słowa ich w r. 1848 ciałem się stawać zaczynały. Najwybitniejsi bowiem idei tej propagatorowie brali czynny udział w znanym parlamencie frankfurckim.

W owym to czasie działalności Burszenszaftów na uniwersytetach niemieckich przybył do Wrocławia (r. 1836) łużyczanin Jan Ernest Smoler w celu studyowania teologii na uniwersytecie tamecznym. Przejęty dążeniami ówczesnych studentów wrocławskich: złączenia plemion jednego szczepu—powziął on myśl zestudyujących tam polaków, czechów i łużyczan utworzyć naukowe towarzystwo słowiańskie, spójnię duchową na celu mające. Organizacyi atoli towarzystwa takiego rząd mu wzbronił, w skutek czego musiał Smoler poprzestać na utworzeniu między

---

Pieśń tryumfującej miłości

(MDXLII)

przez

I. Turgeniewa.

(Dokończenie).

Ujrzawszy duchownego, Fabiusz się trochę przestraszył; ale doświadczony starzec zgóry obmyślił sobie plan postępowania. Pozostawszy sam na sam z Fabiuszem, nie zdradził, rzecz prosta, tajemnicy spowiedzi, wszelako poradził mu oddalić, o ile to możebne, z domu zaproszonego przezeń gościa, który opowiadaniami swojemi, pieśniami i całem zachowaniem się rozstrajał wyobraźnię Waleryi. Zresztą, zdaniem starca, Mucyusz dawniej też, o ile pamięta, nie bardzo jakoś wierzył, a przebywszy tak długi czas w krajach, nieoświeconych promieniami chrześciaństwa, mógł przenieść stamtąd zarazę fałszywych nauk, mógł nawet poznać tajemnice magii; to też, jakkolwiek przyjaźń dawna mogła rościć swoje pretensye, jednak roztropna ostrożność wskazywała niezbędność rozstania. Fabiusz najzupełniej się zgodził z szanownym mnichem, a Walerya odżyła nawet, gdy mąż zakomunikował jej radę spowiednika. Obdarzony błogą podzięką obojga małżonków, zaopatrzony w bogate dary dla klasztoru i dla biednych, ojciec Lorenzo zabrał się do domu.

Fabiusz zamierzał natychmiast po wieczerzy rozmówić się z Mucyuszem, ale gdy nie powrócił na nią dziwny jego gość, Fabiusz postanowił odłożyć rozmowę z nim do dnia następnego — i małżonkowie udali się do swej sypialni.

Walerya szybko zasnęła; ale Fabiusz usnąć nie mógł. Wśród ciszy nocnej żywiej jakoś przedstawiał sobie wszystko, co widział i czego doznał; jeszcze natarczywiej zadawał sobie pytania, na które, jak dawniej, nie znajdywał odpowiedzi. A może Mucyusz został czarnoksiężnikiem, a może też otruł Waleryę? Wszakże jest chora... ale na co? Opuściwszy głowę na rękę i powstrzymując oddech gorący, oddał się ponurym rozmyślaniom; tymczasem zaś księżyc znów wystąpił na pogodne niebo, a z promieniami jego przez półprzezroczyste szyby od strony pawilonu — czy nie przywidziało się Fabiuszowi? — zaczął przenikać powiew, podobny do lekkiego, pachnącego prądu... Oto dochodzą go szepty namiętne... i w tej samej chwili zauważył, że Walerya zaczyna się zlekka poruszać. Wstrząsnął się, patrzy: Walerya podnosi się, opuszcza naprzód z łóżka jedną nogę, następnie — drugą, i jak lunatyczka, martwa z utkwionemi przed siebie, zamglonemi oczami, wyciągnąwszy ku przodowi ręce, zwraca się ku drzwiom ogrodu! Fabiusz w oka mgnieniu poskoczył do drugich drzwi sypialni — i zręcznie okrążywszy węgieł domu, zaparł drzwi, prowadzące do ogrodu... Zaledwie zdołał już zamek, poczuł wnet, że ktoś usiłuje otworzyć drzwi z wewnątrz, naciska je... jeszcze, jeszcze... następnie rozległy się jęki drżące...

„Ależ Mucyusz nie powrócił jeszcze z miasta,“ pomyślał Fabiusz — i rzucił się ku pawilonowi...

Coś widzi.

Na spotkanie jego, po drodze oświeconej jasno blaskiem promieni księżycowych, idzie także, jak lunatyk, także wyciągnąwszy przed siebie ręce i rozwarłszy martwe oczy — idzie Mucyusz... Fabiusz podbiega ku niemu; ale on nie zauważywszy go, postępuje miarowo, krok za krokiem — i twarz jego nieruchoma śmieje się przy świetle księżyca, jak twarz malajczyka. Fabiusz chce go zawołać po imieniu... lecz w tejże chwili słyszy, jak po za nim, w domu brzęknęło okno... Ogląda się...

Rzeczywiście, okno sypialni rozstąpiło się od góry do dołu. Przełożywszy za ramę nogę, stoi w oknie Walerya... ręce jej, zda się, szukają Mucyusza... cała ona rwie się ku niemu.

Wściekłość niewypowiedziana napełniła piers Fabiusza.

— Przeklęty czarodziej! — ryknął w szale, i schwyciwszy Mucyusza jedną rękę za gardło, drugą ujął kindżał, wiszący u jego pasa — i po samą rękojeść utopił ostrze w jego boku.

rodakami swymi towarzystwa dla badania języka i dziejów serbo-łużyckich. Tym sposobem dał on pobudkę do odrodzenia się ducha łużyckiego, o którem mówić zamierzamy.

Poprzednio jeszcze, będąc uczniem w gimnazyum budyszyńskiem (od r. 1830 do 1836), jako 15-letni młodzieniec urządzał u siebie dwa razy na tydzień zebrania gimnazyalnych kolegów w celu ćwiczenia się bądź ustnie, bądź też piśmiennie w mowie macierzyńskiej. To też z Wrocławia korespondował pilnie z pozostałymi w Budyszynie dawnymi kolegami swoimi, którzy idąc za myślą duchowego prowodyra swego, utworzyli stałe towarzystwo nauko we łużyckich gimnazyastów w Budyszynie. Dotychczas jeszcze istnieje tam t. zw. „Societas Slavica," założona przez Masaka Kłosopolskiego roku 1838 z inicyatywy Smolera. Celem towarzystwa tego jest nietylko zaznajamianie się członków jego z mową rodowitą, lecz w miarę możności—badanie języków i cywilizacyi wszystkich innych słowian.

Nie odbiegniemy od rzeczy, gdy przytoczymy wyjątek z listu Kłosopolskiego, pisanego roku już 1840 z uniwersytetu lipskiego do członków „Societas Slavica," w którym nawołuje ich do poznawania języków słowiańskich wogóle, polskiego zaś w szczególności. „Chciałbym, pisze, iżbyście język i literaturę polską szczególnie badali; język ten bowiem jest ze wszystkich innych słowiańskich najbardziej wykształcony i dźwięczny, literatura zaś polska obfituje w znakomite dzieła wszystkich gałęzi wiedzy i posiada tak genialnych poetów, jak Niemcewicz, Czajkowski, Słowacki, Mickiewicz i inni. Przytem nadmienić muszę, że nauczenie się języka polskiego nie będzie przedstawiało dla was wielkiej trudności" (zob. *Łužičan*, rok 1879, cislo 9).

Wkrótce też, w przejeździe przez Budyszyn, nawiedzać zaczęli towarzystwo liczni polscy (Aleks. Maciejowski), czescy, słoweńscy i rosyjscy pisarze, ofiarowując do biblioteki jego mnóstwo dzieł znakomitych różnej treści, w różnych słowiańskich językach.

Z tych to dzieł dowiedzieli się dopiero młodzi łużyczanie, ku niemałemu zdziwieniu, że słowianie ilościowo przewyższają niemców i że ziemie słowiańskie, razem wzięte, rozleglejsze są od całej germańskiej ojczyzny; poznali oni również, w jak bogatą obfitują słowianie literaturę, jak kwitnie u nich sztuka. Nie potrzebujemy też mówić, jak serdecznie witała inteligentna młodzież łużycka słowiańskich swych gości, którzy nie byli względem nich tak dumni i nieprzystępni, jak ich niemieccy światłodawcy, którzy nie naigrawali się z ich mowy rodzinnej, lecz przeciwnie, jako pobratymcom swoim bynajmniej nie skąpili rad i wskazówek do wykształcenia ich przez niemców wyśmiewanego języka i do podniesienia ich narodowości. Wkrótce też przyszła młodzież do przekonania, iż narodowość swoją wówczas tylko przechować może, gdy się lepiej z innymi słowianami zapozna, zbrata i z nimi się duchowo połączy. Bacząc na to, w miejsce dotychczas używanej w książkach łużyckich pisowni niemieckiej, zalecił Smoler łacińską dla większego zbliżenia się umysłowego łużyczan do tych słowian, którzy pisowni tej używają. Członkowie obu towarzystw — wrocławskiego i budyszyńskiego, poparli myśl Smolera, obowiązując się tej tylko pisowni używać i w miarę możności ją rozpowszechniać. Nową pomoc dwa wspomniane towarzystwa uzyskały w założeniu przez łużyckich wychowańców budyszyńskiego seminaryum nauczycieli protestanckich — stowarzyszenia pod nazwą: „Swoboda." Założenie tej instytucyi było niezmiernej dla łużyczan doniosłości; jej bowiem członkowie po ukończeniu swych studyów, jako nauczyciele ludowi, mieli najlepszą sposobność zaszczepiać w ludzie łużyckim idee odrodzenia ducha narodowego i krzepić go tem przekonaniem, że aczkolwiek są oni dziećmi niewielkiego łużyckiego plemienia, niemniej przeto należą do ogromnej rodziny słowiańskiej.

I rzeczywiście duch narodowy na Łużycach, dzięki usiłowaniom szlachetnych tych patryotów, w krótkim czasie podniósł się ogromnie.

Grunt w narodzie był już tak dobrze przygotowany, że w roku 1842 można się już było odważyć na wydawanie tygodniowego czasopisma łużyckiego, które do dziś pod nazwą *Serbske Nowiny* liczy pokaźną stosunkowo ilość czytelników (do 3,000). Niebawem też powstały i inne, jak *Časopis towarzystwa Maticy Serbskiej* (2 zeszyty rocznie) t. j. towarzystwa dla wydawania książek tanich naukowej i beletrystycznej treści, założonego r. 1847, które od początku istnienia swego wydało przeszło 12,000 egzemplarzy różnych dzieł dla ludu. Następnie zaczęto wydawać pisma *Łužičan* i *Serbski Hospodar*, dwutygodnik *Katholicki Posol*—i *Missionski Posol* (dla protestantów) — wszystkie redagowane przez członków wspomnianych towarzystw.

W roku 1847 w Pradze czeskiej między studentami teologii katolickiej na wszechnicy tamecznej utworzone zostało stowarzyszenie p. n. „Serbowka." Założycielem jej był student Jakób Buk, teraźniejszy proboszcz katedry drezdeńskiej, szanowany wielce spowiednik przez wszystkich w Dreźnie mieszkających polaków. Proboszcz zaś budyszyński, Michał Hórnik, utworzył 1861 r. takież towarzystwo literackie, dla wydawnictwa książek treści katolickiej p. n. „Towarzystwo Cyryla i Metodego" w Budyszynie. Tegoż roku Imiš założył dla wydawania dzieł religijno-protestanckich „Luterske knižne Towarstwo." Praska „Serbowka" zyskała wiele na wyborze miejsca swego założenia; istniejąc bowiem w mieście, gdzie idea słowiańska weszła, rzec można, w krew i kości czeskich jego mieszkańców — duchem się tym słowiańskim bardziej może, niż inne tego rodzaju towarzystwa łużyckie, przejęła.

W nowszych czasach zawiązało się jeszcze w katolickiem seminaryum nauczycielskiem w Budyszynie stowarzyszenie literackie pod nazwą „Włada" i takież w protestackiem seminaryum w miasteczku Lubiju (Löbau) p. n. „Zywa". Nadmienimy jeszcze, że w r. 1849 zreformowanem zostało najstarsze towarzystwo łużyckich studentów protestanckiej teologii w Lipsku „Sorabia" zwane, założone w roku jeszcze 1816. Zajmując się pierwotnie li tylko sprawami religijnemi, od r. 1849 zaczęło ono uwzględniać sprawy narodowe, czem zyskało większy wpływ na ludność łużycką. Wreszcie za inicyatywą p. Alfonsa Parczewskiego adwokata w Kaliszu utworzone zostało 31 marca r. 1880 z funduszu ofiarowanego łużyczanom przez Kraszewskiego, „Towarzystwo pomocy naukowej dla studyujących serbów," które, dzięki ofiarności ogółu naszego coraz więcej zyskuje wspierających je materyalnie członków.

Przeraźliwie krzyknął Mucyusz, i przycisnąwszy dłonią ranę, pobiegł, potykając się z powrotem do pawilonu... Ale w tej samej chwili, w której zadał mu cios Fabiusz, równie przeraźliwie krzyknęła Walerya i, jak ścięta z nóg, padła na ziemię.

Fabiusz rzucił się ku niej, podjął ją, poniósł na łóżko, przemówił do niej...

Długo leżała nieruchoma, ale otworzyła wreszcie oczy, westchnęła głęboko i wesoło, jak człowiek tylko co wybawiony od śmierci niebybnej. Spostrzegła męża— i objąwszy szyję jego rękami, przytuliła się do jego piersi.

— „Ty, ty, to ty" — szeptała. Pomaleńku ręce jej się rozsunęły, głowa opuściła się ku tyłowi — i wyszeptawszy z błogim uśmiechem: dzięki Bogu, wszystko się skończyło... ale, jakżem się zmęczyła — zasnęła snem mocnym, lecz ciężkim.

Fabiusz siadł u jej łoża — i nie spuszczając wzroku z jej pobladłej i wychudłej, ale już spokojnej twarzy, zaczął rozmyślać o tem, co zaszło... a także o tem, jak postąpić obecnie. Co przedsięwziąć? Jeżeli zabił Mucyusza — a przypomniawszy sobie, jak głęboko zapuścił ostrze kindżała, nie mógł o tem wątpić — jeżeli zabił Mucyusza — toć ukryć tego nie można! Należało donieść o tem księciu, sędziom... ale jak wyjaśnić, jak opowiedzieć sprawę tak niepojętą? On, Fabiusz, zabił u siebie, w domu, swego krewnego, najlepszego swego przyjaciela! Zaczną pytać za co? z jakiej przyczyny?... Lecz jeżeli Mucyusz nie zabity? Fabiusz nie mógł dłużej pozostawać w niepewności, i przekonawszy się, że Walerya spi, ostrożnie wstał z krzesła, wyszedł z domu i zwrócił się ku pawilonowi. Cisza zalegała go zupełna; w jednem tylko oknie widać było światło. Z zastygającem sercem otworzył on drzwi zewnętrzne (pozostały na nich ślady zakrwawionych palców i na piasku drożki widać było krople krwi), przeszedł przez pierwszy, ciemny pokój... i zatrzymał się na progu zdziwiony i przerażony.

W pośrodku komnaty, na perskim dywanie, z poduszką złotolitą pod głową, nakryty szerokim, czerwonym szalem w pasy czarne, leżał z wyciągniętymi prosto członkami Mucyusz. Twarz jego, żółta jak wosk, z oczyma zamkniętemi, z zsiniałemi powiekami, zwrócona była ku sufitowi; nie można było zauważyć oddechu: wyglądał na trupa. W nogach jego, także owiniętych w szal czerwony, klęczał malajczyk. W lewej ręce trzymał gałązkę nieznanej rośliny, podobnej do paproci — i pochyliwszy się zlekka ku przodowi, uporczywie się wpatrywał w swego pana. Niewielka pochodnia, wetknięta w posadzkę, gorzała ogniem zielonym i jedna tylko oświecała izbę. Płomień nie migotał i nie wydawał dymu. Malajczyk nie ruszył się z miejsca, gdy wszedł Fabiusz; tylko rzucił nań wzrokiem i znowu utkwił go w Mucyusza. Od czasu do czasu podnosił i opuszczał gałązkę, potrząsał ją w powietrzu — a nieme jego wargi zwolna się otwierały i poruszały, jak gdyby wymawiał słowa bez dźwięku. Między malajczykiem i Mucyuszem leżał na ziemi kindżał, którym Fabiusz powalił swego przyjaciela; malajczyk uderzył raz tą gałązką zakrwawione ostrze. Minęła chwila, minęła druga... Fabiusz zbliżył się do malajczyka i schyliwszy się do niego, zapytał półgłosem.

— Umarł?

— Malajczyk kiwnął głową w kierunku od góry do dołu, a wyswobodziwszy z pod szala swą rękę prawą, rozkazująco wskazał mu drzwi. Fabiusz chciał powtórzyć swe pytanie, lecz rozkazująca ręka ponowiła swój ruch i Fabiusz odszedł niezadowolony i zdziwiony, lecz posłuszny.

Waleryę zastał śpiącą jak przedtem z twarzą jeszcze bardziej uspokojoną. Nie rozebrał się, przysiadł pod oknem, podparł się ręką i znów pogrążył się w zadumie. Wschodzące słońce zastało go w tem samem miejscu. Walerya nie budziła się.

Fabiusz chciał się doczekać jej przebudzenia i pojechać do Ferrary, gdy w tem ktoś leciutko zastukał do drzwi sypialni. Fabiusz wyszedł i ujrzał przed sobą swego starego sługę, Antonia.

— Signor, przemówił starzec — malajczyk tylko co nam oświadczył, że signor Mucyusz zaniemógł i pragnie z wszystkimi pakunkami przenieść się do miasta; dla tego prosi pana, abyś mu dał do pomocy ludzi do zapakowania rzeczy, a później przysłał konie juczne i wierzchowe a także kilku strażników. Pan pozwala?

Wszystkie stowarzyszenia owe, o których mówiliśmy, utworzyły jeden związek, którym steruje wybieralny z pośród członków wszystkich kół prezes. Roku 1877 związek ów zaczął wydawać miesięczny swój organ p.t *Lipa Serbska*, czasopismo młodych serbów. Organ ten, ze względu na najinteligentniejszych współpracowników, możnaby nazwać szkołą przygotowawczą przyszłych pisarzy łużyckich; szczególniej przyczynia się on pełnymi młodzieńczego zapału artykułami do zajęcia się na Łużycach ruchem umysłowym ogólno słowiańskim. Do roku 1880 wychodziła *Lipa* w litografowanych (z braku funduszów) miesięcznych zeszytach w Lipsku; obecnie tłoczy się ona w Budyszynie w drukarni Smolera, która założona w październiku roku 1875 wyświadcza literaturze łużyckiej znakomite usługi. Do r. bowiem 1875 zmuszeni byli łużyczanie tłoczyć swe książki w zakładach niemieckich, za co płacąc bardzo drogo, rok cały wyczekiwali, zanim niemiecki drukarz znalazł czas na wydanie łużyckiej książki. To też w ciągu lat 1876—80 wyszło przeszło 30 książek i innych pism, z których niejedno bito w 6,000 egzemplarzy; w ciągu więc lat czterech wydano więcej druków, niż poprzednio w ciągu lat 15.

Kończąc krótkie to sprawozdanie o towarzystwach naukowych i pismach łużyckich, wypada nam jeszcze w kilku słowach zaznaczyć te peryodyczne zjazdy, które od r. 1847 urządzają w różnych miejscowościach Łużyc przewodniczący wszystkich towarzystw. Zjazd taki odbywa się corocznie podczas uniwersyteckich feryj letnich, za każdym jednak razem w innej miejscowości i trwa dni 3. Pierwszego dnia zbierają się prezesi oddzielnych towarzystw, z których każdy odczytuje sprawozdanie z czynności; poczem zostaje uchwalany porządek dzienny na walne zebranie członków dnia następnego.

Trzeciego dnia odbywają się odwiedziny tych miejscowości i okolic, które dla związku szczególne położyły zasługi.

Posiedzenie dnia drugiego bywa uroczystością publiczną; oprócz bowiem członków, znajduje się na niem tylu uczestników, ilu ich miejsce zgromadzenia pomieście zdoła. Zwykle przewodniczący podówczas całemu związkowi w krótkości objaśnia słuchaczów o działalności wszystkich towarzystw, następnie zaczynają się rosprawy nad postawionemi dnia poprzedniego na porządku dziennym sprawami, poczem odbywa się wokalno-instrumentalny koncert, również staraniem członków urządzony. W przerwach występują deputacye różnych okolic, do których członkowie wygłaszają patryotyczne mowy, podnoszące ich ducha. Uroczystość kończy się balem. Słuchacze koncertu i biesiadnicy płacą dowolną składkę na dochód towarzystwa pomocy naukowej.

Kosztów urządzenia tej uczty członkowie nie ponoszą żadnych, gdyż mieszkańcy okolicy, w której zjazd się odbywa, za szczęście sobie poczytują, gdy mogą sami gości podjąć, których ilość zwykle nie przewyższa liczby gospodarzy.

Jak dodatnio wpływają zjazdy takie na rozwój umysłowy ludu łużyckiego — o tem nadmieniać nie potrzebujemy. (D. n.)

L. Papieski.

W HANDELKU.

Siadaj hrabio! Powiadam ja tobie,
Takie czytam i słyszę androny,
Tak tem jestem zgryziony, zmartwiony,
Że, doprawdy, już nie wiem, co zrobię.
Sprowadziłem niedawno karetę;
Zapłaciłem — coś tak — dwa tysiące;
Dzisiaj — biorę do ręki gazetę...
Chryste panie! Kalumnie trujące!
Jabiś gbur, zawadjaka — literat
Takie prawi mi za to morały,
Tak wyraźnie, że muszę — rad nie rad —
Wziąć do siebie ten paszkwil zuchwały.
No, i powiedz mi, hrabio, bez blagi,
Gdzie tu wstyd? Gdzie tu cześć dla siwizny?
Tego... chciałem powiedzieć: powagi...
Własne gniazdo!... Gdzie miłość ojczyzny?!...

Koniec świata, mówię ci!... Ale, ale!
Przed tygodniem przychodzą tu śmiało
Jacyś ludzie: „Może pan na szpitale
Jakąś składkę dać łaskaw — choć małą?..."
Va sans dire — pokazuję im schody...
Na co dawać? Wszak jakoś to będzie!...
Dzisiaj z nudów, a trochę dla mody
Czytam... Znowu mentory i sędzie!
„Tak — powiada — nasz cny oportunizm
Zwykł się z wszelką ociągać robotą!..."
Jakto panie? Że jakieś tam zwierzę
Chce w szpitalu zagoić swe blizny,
To już ja nie mam być na operze?...
A kult sztuki? A chluba ojczyzny?

Chciałem zjeść — idę tu. Jakaś baba
Przede drzwiami zachodzi mi drogę;
Coś tam plotła, że chora i słaba,
Słuchać jęków, rzecz prosta, nie mogę...
Wszedłem—zjadłem. Zaczynam pić porter...
Obcy głos zwraca moją uwagę:
Słucham więc, aż tu jakiś reporter
O tej babie rozpuszcza już blagę!...
Jak to panie! Że licha poczwara
Przez próżniactwo ze czczości gdzieś zdycha,
To już ja nie mam jadać homara,
Nie mam wypić porteru do licha!?
I co one myślą tu głowy?
I co to z ich będzie wścieklizny?...
Więc cóż przemysł, co handel krajowy?
I gdzież miłość tej biednej ojczyzny?!...

W moich dobrach mam kościół... Księżyna—
Zacny kapłan! — Pismaków tych chłosta...
Licho dało... coś... jakaś dziewczyna...
No, oszczerstwo wierutne — rzecz prosta!
Teraz biorę ten dziennik... Do kata!
Już zwąchali! Już wiedzą! „Zgorszenie
To — powiada — niegodne prałata
I u wiernych obniża go w cenie..."
Wię już tak? Więc już niema religii?
Więc już cnoty nas uczą wywłoki?
Mów, co chcesz; dość już mamy tej ligi.
Trzeba nam się jej pozbyć bez zwłoki...
Toć to istna, powiadam ci, kara!
Gdzież więc miłość dla ojców puścizny,
Gdzie prababek, pradziadów gdzie wiara?
Nadewszystko — gdzież miłość ojczyzny?...

PAS SI BÊTE!

Więc pan już wrócił z za granicy!...
I długoż tu zaszczycisz nas?
A warto! W naszej okolicy
Zgoła niedobry teraz czas.
Rolnictwo, panie, podupadło,
Siły krajowe gdzieś — het, het!...
Na dłużej zostać by wypadło...
„O non, mon cher, non — pas si bête!..."

— Malajczyk ci to oświadczył? — zapytał Fabiusz. W jaki sposób? Przecie jest niemy.

— Oto, signor, papier, na którym wszystko to skreślił w naszym języku bardzo prawidłowo.

— A Mucyusz, twierdzisz, słaby?

— Tak, bardzo słaby i widzieć go niemożna.

— Nie. Malajczyk nie pozwolił.

— I to napisał ci malajczyk?

— Tak jest.

— Fabiusz zamilkł.

— No, cóż — wydaj polecenia, wyjąkał wreszcie.

Antonio oddalił się.

Fabiusz ze zdziwieniem popatrzył za swym sługą. A więc niezabity? — pomyślał sobie... i nie wiedział, czy cieszyć się, czy smucić. Słaby? Ależ kilka godzin temu widział przecie trupa.

Fabiusz powrócił do Waleryi. Przebudziła się i podniosła głowę. Małżonkowie zamienili z sobą długie, znaczące spojrzenia.

— Już go niema? wyrzekła nagle Walerya.

Fabiusz wzdrygnął się.

— Jakże... niema? Czy ty... Odjechał? ciągnął dalej.

Fabiuszowi spadł ciężar z serca.

— Nie jeszcze; ale odjeżdża dziś.

— I nigdy więcej, nigdy go nie ujrzę?

— Nigdy.

— I sny te nie powtórzą się?

— Nie.

Walerya znowu westchnęła radośnie i błogi uśmiech znów pojawił się na jej wargach. Wyciągnęła do męża obie ręce.

— I nigdy nie będziemy mówili o nim, nigdy, słyszysz, mój miły? I nie wyjdę z pokoju, dopóki nie wyjedzie. A teraz przyszlij mi sługi... poczekaj — weź tę rzecz!

Wskazała naszyjnik perłowy, leżący na stoliku nocnym, ofiarowany jej przez Mucyusza.

Rzuć go natychmiast do najgłębszej naszej studni. Obejmij mię, jam twa Walerya — i nie przychodź do mnie, póki tamten nie wyjedzie.

Fabiusz wziął naszyjnik — perły, zdawało mu się, ściemniały — i spełnił polecenie swej żony. Potem zaczął wałęsać się po ogrodzie, zdaleka spoglądając na pawilon, przed którym można już było spostrzedz zamęt przeprowadzki. Ludzie wynosili kufry, ładowali je na konie... ale malajczyka nie było między nimi. Nieprzeparte uczucie popychało Fabiusza do popatrzenia raz jeszcze na to, co się działo w pawilonie. Przypomniał sobie, że w tylnej jego ścianie znajdowały się drzwi tajemne, przez które można było przedostać się do komnaty, gdzie zrana leżał Mucyusz. Zakradł się pod nie, znalazł je niezamknięte i rozsunąwszy ciężką kotarę, rzucił na pokój swój wzrok niepewny.

Mucyusz nie leżał już na dywanie. Odziany w szaty podróżne, siedział na fotelu, ale wydawał się trupem, jak za pierwszą bytnością Fabiusza. Głowa skamieniała opadła na poręcz krzesła i wyciągnięte, żółte, opuszczone ręce nieruchomie leżały na kolanach. Pierś nie ruszała się. Przy fotelu, na podłodze, zarzuconej zeschłą trawą, stało kilka płaskich filiżanek z ciemnym płynem, wydającym silną, niemal duszącą woń, woń piżma. Dokoła każdej filiżanki okręciła się, zrzadka połyskując złotemi oczkami, niewielka żmijka barwy miedzianej, a prost Mucyusza, w odległości dwu kroków, wznosiła się długa postać malajczyka, odzianego w jaskrawą, złotem przetkaną szatę, podpasaną ogonem tygrysim, z wysokim kapeluszem w rodzaju tyary na głowie. Ale nie stał nieruchomie; to ze czcią się kłaniał, jak gdyby się modlił, to znowu prostował się, wyciągał cały, unosił się nawet na palcach, miarowo i szeroko machał rękami, natarczywie je poruszał w kierunku Mucyasza i zdawało się, groził lub rozkazywał, chmurzył brwi i tupał nogami. Wszystkie te ruchy widocznie kosztowały go dużo trudu, zrządzały nawet cierpienia: oddychał ciężko, pot ciekł z jego twarzy. Nagle zamarł na miejscu i zaczerpnąwszy w pierś swą powietrza, zmarszczywszy czoło, wytężył i pociągnął ku sobie swe ściśnięte ręce, jak gdyby lejce w nich trzymał... i ku nieopisanemu przerażeniu Fabiusza, głowa Mucyusza zwolna oddzieliła się od poręczy krzesła i pociągnęła w ślad za rękami ma-

Rolnictwo hrabi snać nie nęci,
Jest jednak masa innych dróg...
Hm, nawet miałem coś w pamięci...
Dzieło szlachetne — dalibóg!
Znam tu młodego literata —
Gdy hrabia chcesz, sprowadzę wnet;
Trza go zachęcić — młode lata...
„O non, mon cher, non — pas si bête!..“

Ha, bo to hrabia jesteś w górze;
Sądziłem — niższym rękę dasz,
Lecz nie rad pan literaturze...
To może wesprzesz handel nasz?
Przemysł krajowy też w zawiązku
Pewno by także zakwitł wnet,
Gdybyśmy się do obowiązku...
„O non, mon cher, non — pas si bête!..“

A ja bym zrobił to z rozkoszą —
Świadczę się Bogiem... gdybym miał...
Ale!... słyszałem — hrabię proszą,
Byś imię twe na firmę dał.
O ile wiem, to nie z pożytkiem
Dla kraju ten interes szedł...
Zapewnie hrabia puścisz z kwitkiem...
„O non, mon cher, non — pas si bête!“

Maryan Bohusz.

PSYCHOLOGIA*)

w ekonomii politycznej.

(Ideał ekonomiczny).

Ponieważ ekonomia polityczna nie jest nauką tylko konstatującą fakta, ale poddającą krytyce rzeczywistość, więc podług Tarde'a powinna posiadać ideał. Czy jest on możliwy do urzeczywistnienia, czy tylko pochwytny dla myśli? Aby odpowiedzieć na to pytanie, autor przedewszystkiem stara się oznaczyć stanowisko ekonomii politycznej w gronie innych nauk społecznych. Każda z nich odpowiada pewnej grupie stosunków. I tak: lingwistyka — mówie, polityka i prawodawstwo — węzłom zależności państwowej i prawnej, strategia — potrzebie obrony lub napaści itd. W każdym szeregu tych stosunków wszelka nowość poczyna się od inicyatywy jednostkowej, czyli wynalazku, a rozpowszechnia się drogą naśladownictwa. Oczywiście, że niemożliwą jest nauka wynalazków, ale tylko ich historya; mogłaby jednak powstać nauka o ich naśladowczem rozpowszechnianiu się, szybkiem lub powolnem, zmiennem stosownie do klimatu rasy i wieku. Dążność wynalazków i użytecznych zdobyczy przemysłu do rozpowszechniania się w postępie rosnącym. geometrycznym, często tamowanym w swym pochodzie. jest tak pewną, jak dążność typów żyjących do rozpowszechniania się na mocy tego samego prawa. Pierwsza zasługuje na uwagę ekonomistów, druga — jest przedmiotem badań przyrodników. Można jednak opisać, ale trudno naukowo uporządkować szereg historyczny pomysłów religijnych, odkryć naukowych, wojskowych, administracyjnych. O zamkniętym przed dobą historyi szeregu wynalazków, słów i form gramatycznych, niepodobna nawet dać opisowego pojęcia. Dopiero gdy religia jest uformowaną, język urobiony i rozpowszechniony, gdy całokształt poznania przyjęty i zorganizowany, gdy suma zasad moralnych przeniknęła do dusz, itd. wtedy dopiero nastaje pora ukształtowania się teologii, gramatyki, całości nauk specyalnych, kursu moralności, dzieła prawnego itd. Podobnie, gdy pewna grupa różnych rodzajów przemysłu, które powstały oddzielnie w skutek szeregu odkryć przypadkowych, zacznie działać regularnie i rozpowszechniać swe różnorodne produkty w narodzie, wtedy nadchodzi pora pojawienia się umiejętności, nazwanej ekonomią polityczną.

Każda nauka jest logicznem uporządkowaniem wynalazków a raczej wyjaśnia, jak się one porządkują, jak mogą i powinny układać się logicznie. Teologia jest uporządkowaniem o tyle logicznem, o ile to być może, wierzeń religijnych w następstwie ich kształtowania się. Odnosi się to szczególniej do teologii chrześciańskiej ojców kościoła, albowiem po nich nauka ta „pogrzebała się we własnym tryumfie.“ Moralność jest uporządkowaniem logicznem rozmaitych obowiązków, często sprzecznych z sobą i nierównych co do jakości i stopnia, które ukształtowały się i rozpowszechniły. Pomijając inne określenia gałęzi wiedzy, zatrzymujemy się nad ekonomią polityczną, która, podług Tarde'a, jest nauką dążącą do wykazania: 1) jakim sposobem porządkuje się lub powinna się porządkować logicznie, odpowiednio do pewnego *maximum* użyteczności otrzymanej przez *minimum* pracy, wytwórczość rozmaitych bogactw, będących rezultatem naśladownictwa odkryć; 2) oraz, jak się mają ułożyć klasy społeczeństwa, które biorą udział w tej wytwórczości.

Ekonomia polityczna może być dwojaką: jedna, która uznaje porządek w faktach ekonomicznych, jako takich, druga, która go nie widzi i pragnie dopiero zaprowadzić; jedna prawomyślna, wyczekująca, która uważa współzawodnictwo handlowe i naturalny dobór przemysłowy jako drogę prowadzącą do ekonomicznego ideału; druga lecznica, chirurgiczna, radykalna, która wyznaje konieczność poddania wszystkich produkcyj i wszystkich warstw społecznych pewnemu reformatorskiemu planowi.

Niewątpliwie dziwionoby się mężowi stanu, któryby puściwszy wodze rządu, zdał sprawy państwa na działanie pobudek wszystkich współobywateli, albo wodzowi, któryby oddał los bitwy usiłowaniom pojedyńczych żołnierzy. Tymczasem ta teorya *laisser-faire*, stosowana do innych gałęzi wiedzy społecznej, nie dałaby tak niedorzecznych wyników. W gramatyce np. można stwierdzić, mówi Tarde, że bez akademii język francuski, zostawiony samodzielności instyktów indywidualnych, nie byłby mniej pięknym, mniej bogatym, a nawet mniej czystym. Czy ekonomię polityczną należy pod tym względem upodobnić do gramatyki, czy też do nauk poprzednich? Bezwątpienia do gramatyki, jeżeli będziemy sądzić kwestyę czysto ekonomicznie. Tylko ze stanowiska politycznego można popierać organizacyę i kierownictwo pracy. Jeżeli ludzie jednego narodu chcą tylko wzajemnie sobie pomagać, nikt nie będzie wątpił, że każdy z nich jest najlepszym sędzią w wyborze środków dla osiągnięcia własnego celu. Lecz jednak w tym samym czasie przystępują oni zbiorowo do jakiegoś wielkiego przedsięwzięcia, czyż wtedy ich naczelnicy, obowiązani urzeczywistnić je, nie powinni uważać sił przemysłowych i handlowych narodu za narzędzia tego działania, a zatem przekształcić je odpowiednio wytkniętym zadaniom? Pytanie więc re-

*) Patrz nr. 48 *Prawdy*.

lajczyka. Malajczyk cofnął je — i głowa Mucyusza znowu ciężko opadła ku tyłowi; malajczyk powtórzył swoje ruchy — i ponowiła je za nimi posłuszna głowa. Ciemny płyn zawrzał w filiżankach, które zabrzęczały cienkim dźwiękiem, a żmijki miedziane falisto się poruszyły dokoła każdej z nich. Wówczas malajczyk postąpił krok naprzód i wysoko podniósłszy brwi i otworzywszy najszerzej oczy, kiwnął głową na Mucyusza... Powieki trupa zadrżały, rozwarły się nierówno i ukazały się z pod nich ciemne, jak ołów, źrenice. Dumnym tryumfem i radością, radością niemal złośliwą, zajaśniała twarz malajczyka; szeroko otworzył swe wargi i z samej głębi jego krtani wyrwał się ryk przeciągły... Wargi Mucyusza także się rozwarły i słaby jęk zadrżał na nich w odpowiedzi na ten dźwięk nieludzki...

Ale Fabiusz już dłużej nie wytrzymał: zdawało mu się, że jest obecny na jakichś czartowskich zaklęciach! Także krzyknął i rzucił się, nie patrząc za siebie, ku domowi, czemprędzej ku domowi, szepcząc pacierze i żegnając się.

W trzy godziny potem, Antonio przybył do niego z doniesieniem, że wszystko w pogotowiu, wszystkie poduszki ułożone i signor Mucyusz wyrusza w drogę. Nie odpowiedziawszy ani słowa swemu słudze, Fabiusz wyszedł na taras, z którego widać było pawilon. Kilka koni stało przed nim; pod samo skrzydło podprowadzono olbrzymiego karego ogiera z szerokiem siodłem, przygotowanem dla dwu jeźdźców. Tuż obok stała służba z obnażonemi głowami i straż uzbrojona. Drzwi pawilonu się otworzyły i podtrzymywany przez malajczyka, znowu odzianego w zwykłe swe szaty, ukazał się Mucyusz. Twarz jego była trupia i ręce obwisłe jak u trupa, ale przebierał... tak, przebierał nogami i posadzony na konia trzymał się prosto i omackiem znalazł lejce. Malajczyk włożył mu nogi w strzemiona, wskoczył za nim na siodło, objął ręką, i cały orszak ruszył. Konie szły stępa, a gdy zawróciły przed domem, Fabiuszowi zdało się, że na ciemnej twarzy Mucyusza błysnęły dwie białe plamki... Ażaliż ku niemu zwrócił swe źrenice? Tylko malajczyk mu się ukłonił... ironicznie, podług zwyczaju.

Czy widziała wszystko to Walerya? Żaluzye w jej oknach były spuszczone... ale być może, stała po za niemi.

Na obiad przyszła do jadalni, bardzo była spokojna i łagodna; jednakże wciąż jeszcze skarżyła się na zmęczenie. Ale ani trwogi już w niej znać nie było, ani dawnego ciągłego znużenia i tajnej obawy; a kiedy nazajutrz po wyjeździe Mucyusza, Fabiusz znowu się wziął do portretu, znalazł w jej rysach ten czysty wyraz, którego chwilowe przyćmienie tak go zasmuciło... i pędzel pobiegł po płótnie lekko i pewno.

Małżonkowie odżyli dawnem życiem. Mucyusz znikł dla nich, jak gdyby go nigdy nie było. Fabiusz i Walerya, oboje jak gdyby umówili się nie wspomnieć o nim ani słówkiem, nie dowiadywać się o dalsze jego losy; zresztą zostały one dla wszystkich tajemnicą. Mucyusz rzeczywiście znikł, jak gdyby zapadł się pod ziemię. Razu pewnego zdawało się Fabiuszowi, że winien był opowiedzieć Waleryi, co mianowicie zaszło w tę noc fatalną... ale ona zapewne odgadła jego zamiary i stłumiła oddech, oczy jej się zmrużyły, jak gdyby oczekiwała ciosu... I Fabiusz ją pojął: nie zadał jej go.

W piękny dzień jesienny Fabiusz kończył obraz swojej Cecylii; Walerya siedziała przed organem i palce jej poruszały klawisze... Nagle, pomimo woli, pod rękami jej zadźwięczała ta pieśń tryumfującej miłości, którą niegdyś grał Mucyusz — i w tej samej chwili, po raz pierwszy od ślubu, poczuła w swem łonie drżenie nowego zaradzającego się życia... Walerya wzdrygnęła się i zatrzymała...

Cóż to znaczyło? Czyżby...

Na słowie tem kończył się rękopis.

Sprostowanie. W nrze poprzednim str. 578 szp. 2 w. 2 i str. 579 szp. 1 w. 13 zam. *parciane* czyt. *„przetkane* złotem.“

dukuje się do tego: czy pożądana solidarność społeczna polega na wzajemnem pomaganiu i oddziaływaniu ekonomicznem, czy należy lub nie należy tego pomagania i oddziaływania poddać współdziałaniu patryotycznemu? Aby zaprzeczyć konieczności, fatalizmowi tego poddania, jakkolwiek czasem może ono być przykrem, trzeba być ślepym wobec oczywistości. Świat ekonomiczny oczekuje na swego pana.

Obie zresztą wprost przeciwne sobie ekonomie polityczne zgadzają się na jedno, t. j. na możliwość osiągnięcia, a przynajmniej pojęcia części ideału, który jest dla nich wspólny tj. *maximum* wartości. Pod tym względem, jak zaznacza Tarde, jeden tylko Cournot, filozof-ekonomista, który śmiało zajrzał w oczy tej kwestyi, wygłasza zdanie przeczące. Podług niego, zachodzi pewna analogia pomiędzy ideą optymizmu w ekonomii społecznej a ideą optymizmu i celowości w filozofii naturalnej. Obie te zasady mogą znaleść tylko częściowe i względne zastosowanie w pewnych określonych okolicznościach. Dany szczegół urządzenia odpowiada najlepiej trwaniu danej czynności lub ustaleniu się pewnego gatunku; ale wznieśmy się tylko nieco wyżej i zapytajmy: dla czego dany a nie inny gatunek powołanym jest do tego, aby istniał w faunie lub florze danej okolicy. Wtedy zasada optymizmu i celowości, służąca za nić przewodnią, już nam się wymyka. To, co sprzyja pomnażaniu się jednego gatunku, jest przyczyną zamierania lub ograniczenia drugiego, a trudno osądzić, czy jako takie lepszem jest znikanie jednego gatunku a rozszerzanie się drugiego. Odnajdujemy nić ową, gdy stworzenie ziemskie rozpatrzymy w stosunku do człowieka, gdy z tego stanowiska sądzimy, że korzystniejszem jest, aby pewne gatunki lub rasy się rozpowszechniły, a inne się zmniejszyły lub znikły, aby w tym celu pewien rodzaj uprawy, podziału gruntów, rozdziału różnych rodzajów kultury i wytwórczości był uważany za lepszy, aniżeli inny. Gdy zaś będziemy porównywali pomiędzy sobą gatunki produktów, różnorodnie użytecznych, odpowiadających potrzebom i gustom rozmaitym, z powodu skomplikowania organizacyi człowieka, rozmaitości urządzeń społecznych, odrębności temperamentów, ras, klas społecznych, obyczajów, zwyczajów, czasu i miejsca — wtedy nić przewodnia znowu nam się wymyka: albowiem chcieliśmy porównywać przedmioty różnorodne, właściwie nienadające się do porównania a więc i do oznaczenia pewnego *maximum* lub najlepszości (*optimum*). Na podstawie takiego porównania Cournot twierdzi, że zarówno w filozofii natury, jak i w ekonomii politycznej, zniknięcie zasady optymizmu, jako przewodniej, leży w samej naturze rzeczy. Podług Tarde'a, krytyka taka byłaby słuszną, gdyby w ekonomii politycznej pojęcie najlepszości, to jest ideału zawierało w sobie porównanie i miarę rzeczy istotnie różnorodnych; wtedy trzebaby zaniechać podążania ku temu celowi, uznanemu za niedorzeczny. Ale bez tego celu ekonomia podług Tarde'a, nie miałaby prawa do miana nauki. Warto więc zbadać: czy owa różnorodność mniemana jest zupełną, czy gusty i potrzeby, uważane za niepodobne i niemożliwe do porównania, nie mają w sobie czegoś wspólnego? Powołując się na dawne swe poglądy, Tarde twierdzi, że świadomość każdego człowieka—który musi się decydować pomiędzy dwoma gustami, albo dwoma potrzebami, najbardziej różnorodnemi, z których jedną poświęca drugiej—rozwiązuje to zagadnienie, naprzekór Cournotowi. Każdy z nas wie, co mu się lepiej podoba: jedzenie czy polowanie, ambicya lub miłość, nauka botaniki lub słuchanie opery. Ten wybór większości, która także musi znać swe upodobania, nie dowodzi, że rzeczy wyszególnione tym sposobem same w sobie są więcej warte, aniżeli inne, istotnie różnorodne. Ale sama w sobie żadna rzecz ani osoba niema wartości ekonomicznej. Stosować do wewnętrznej istoty osoby ideę własności — jest to pomijać jej samodzielność, charakterystyczną rdzenność. Rousseau powiedział, że „życie jednego człowieka więcej warte, aniżeli wolność rodzaju ludzkiego," robiąc porównanie pomiędzy dwoma rzeczami różnorodnemi. Gdyby wyraźnie wyrzekł zdanie przeczące, nikt by mu nie zaprzeczył. Ten przykład wystarcza na zarzuty Cournota.

Więc pojęcie najlepszości, pewnego maximum wartości, dającego się urzeczywistnić, jest pochwytne dla myśli. Biegun ekonomii politycznej nie jest wcale fantastycznym. Ale do jakiego z dwu czynników wartości odnieść go należy? Czy z ekonomicznego punktu widzenia świat ciąży do maximum pragnień i żądz, czy do maximum wiar, gwarancyj, pewności ochraniających od przyszłych klęsk i niebezpieczeństw? Co do maximum pragnień można przypuścić, że one mogą mieć natężenie i rozgałęzienie nieskończone. Jednakże Stuart Mill określa pewien stan *statyczny* cywilizacyi i przemysłu, stan, gdzie w danych warunkach rozwoju klimatycznego i umysłowego istnieje ideał społeczny, dający społeczeństwu szczyt najwyższy, jeżeli nie szczęścia, to przynajmniej przesytu. Bezwątpienia potrzeby się mnożą, ale większość ich jest przewidywaniem żądań przyszłych, które mogą się niewytworzyć; większość wartości, odpowiadających tym potrzebom, to jest wszystkie z wyjątkiem tych, które natychmiastowo się użytkują, są nadziejami lub możliwemi pewnościami przypuszczalnych zadowoleń. Stąd to pochodzi, podług Tarde'a, ta wzrastająca siła złota w społeczeństwach, które powoli odstępują od wierzeń religijnych. Pewność, jaką przedstawia złoto posiadaczowi, pozwala jej odgrywać *pod względem ekonomicznym* rolę tych wierzeń. Celem ostatnich jest nabycie pewności lub możliwości zbawienia, otrzymanie *pewności wiecznej*. Pieniądze zaś wcielają wiarę ogólną i wspólną, tkwi w nich tajemnica obietnica przyszłych rozkoszy. Wiara jednak, którą budzi złoto, może być tak omylną jak wszelka inna. Tymczasem jednak pewność usprawiedliwiona lub zawodna, którą nas ono nęci, jest siłą produkcyjną *sine qua non*. Dla tego też pragnienie złota się wzmaga.

Powszechna opinia, która krąży wśród ekonomistów, że zadaniem państwa jest zapewnienie obywatelom bezpieczeństwa, wzięta ściśle w tem znaczeniu, byłaby narzuceniem państwu strasznego ciężaru. Spełniając takie zadanie, powinnoby ono *tylko* zbogacać wszystkich swych członków. Jakkolwiek więc żądza złota jest pragnieniem, jednakże jej wzrost świadczy przedewszystkiem o wzroście ufności i wiary, gdy tymczasem siła pragnienia, ogółem wzięta, zmniejsza się. Tarde mniema, że w miarę wzrostu oświaty, ludzkość powoli tracić będzie własne złudzenie co do pragnień, przynajmniej w ich gałęzi pozytywnej. Pragnienie bowiem jest albo pozytywne albo negatywne — stosownie do tego, czy towarzyszy mu wrażenie, obraz lub sąd mniej lub więcej nieurzeczywistniony, czy też przeciwnie, usunięcie wrażenia, obrazu oraz sądów, jakie one wywołują. Każde pragnienie pozytywne, towarzyszące jakiejś uciesze, dochodzi do pewnego punktu, w którym spotyka je pewien zawód; jest to chwila zupełnego zadowolenia. Głębokie to złudzenie, że granica, w której żądza spodziewa się znaleść swoje zaspokojenie, wydaje się przyjemnością roskoszną, co jest niemożliwem, ponieważ zaspokojenie pragnienia zawiera w sobie jego zniknięcie albo zmniejszenie, gdy tymczasem przyjemność przypuszcza swój wzrost.

Dla tego też, podług Tarde'a, należy pokonywać dążącą i tak do zmniejszenia wiarę żądań pozytywnych w ich własne urzeczywistnienie.

Jeżeli pragnienie pozytywne nas zużywa, negatywne, wcielone w pewne wrażenia i obrazy, wywołuje boleść. Ono nie myli nas wcale, albowiem dąży do wyzwolenia się, do stanu, w którym istnieć nie będzie. Ono tylko jest racyonalne, ono tylko może osiągnąć swój kres za pomocą sztuki, nauki i miłości—tych trzech wielkich czynników, zniechcających cierpienie.

W kierunku pragnień pozytywnych przyszła ludzkość przywiąże się przedewszystkiem do ciekawości pośredniej lub bezpośredniej, prawowitej lub nieprawej, szukając w niej rękojmi przeciwko możliwym klęskom. Postęp życia politycznego, urządzeń społecznych i nauk powiększy sumę tego przewidywania i pewności, tak że nasi prawnukowie będą mogli używać, jeżeli nie szczęśliwości w ścisłem znaczeniu tego słowa, to przynajmniej bezpieczeństwa nieskończenie wyższego, aniżeli nasze. Wzrostowi temu towarzyszyć będzie, podług Tarde'a, także wzrost oglądy towarzyskiej, wytwarzającej pewność porównania naszych wiar, pragnień i złudzeń w najbliższych stosunkach międzyspołecznych. Gdy ogłada dworów królewskich przeniknie ostatnie nawet warstwy, każdy pozna prawdziwą radość życia. Ziemia będzie wtedy wielkim zakładem roboczym, a ten zakład będzie wielkim salonem, świetnym i liberalnym salonem XVIII wieku, otwartym dla wszystkich, nawet dla barbarzyńców. Będzie to coś więcej, niż sielanka. Tarde wierzy, że ideał ten nie jest utopią.

Człowiek starzejący się nawet przed schyłkiem życia czuje, że w niem zmniejszają się pragnienia możliwych rozkoszy, nawet obawy możliwych nieszczęść. Siła jego oporu zmniejsza się, chociaż jego czynność trwa jeszcze. Jednocześnie widzi, że jego wiary ustalają się, układają systematycznie, uogólniają z dnia na dzień. Czy tak samo nie będzie z ludzkością?

I. K.

KILKA UWAG O SOMNAMBULIZMIE.

III.

Badacz francuski, K. Richet, utrzymuje w swem studyum o somnambulizmie, że jakkolwiek nie sprawdzono dotąd w sposób naukowy, ażeby osoba, zostająca w stanie somnambulistycznym, mogła przenikać myśli eksperymentatora, wykonywać rozkazy *pomyślane* przez niego, ale *niewypowiedziane* lub w inny sposób *wyrażone*; z tem wszystkiem zaprzeczać tego *a priori* nie można i potrzeba czekać na dalsze w tym przedmiocie doświadczenia. Zdanie to, podnoszące kwestyę jasnowidztwa do wysokości naukowego zagadnienia, znalazło sympatyczny odgłos i u nas—najprzód wśród tych, którzy pragną uchodzić za ścisłych badaczów, a następnie wśród ludzi, którzy upatrują w niem uświęcenie swej wiary w przeczucia i przepowiednie. Jakkolwiek pozornie zdaje się ono zgadzać ze stanowiskiem, które zajmuje obecnie nauka, opierająca się wyłącznie na doświadczeniu i obserwacyi — w gruncie rzeczy sprzeciwia się mu stanowczo, zapoznając właściwy charakter indukcyjnej metody. Opiera się nauka na doświadczeniu — to prawda — ale nie potrzebuje uciekać się do doświadczenia w każdym pojedyńczym wypadku. Drogą idukcyi dochodzi ona do ustanowienia prawd ogólnych, których wartość nie ogranicza się na samych tylko faktach zbadanych; mają one znaczenie dla wszystkich wogóle faktów, do tej samej grupy należących. Ogólne te prawdy pozwalają jej w danym wypadku wyprzedzać doświadczenie, wyprowadzać dedukcyjne wnioski o tem, co mo-

że i powinno się okazać w pewnym szeregu zjawisk, do jakich rezultatów musi doprowadzić doświadczenie, podjęte w pewnym kierunku. Słowem, może ona coś twierdzić lub przeczyć czemuś *a priori*, opierając się wyłącznie na doświadczeniu przeszłości i na wyprowadzonych z niego prawdach. Gdyby nauka zmuszona była udawać się do doświadczenia we wszystkich możliwych kwestyach, gdyby nie wolno jej było w danym razie decydować o nich *a priori* na podstawie prawd powszechnie przyjętych i stwierdzonych doświadczeniem przeszłości — przestałaby być umiejętną całością i zniżyłaby się do zbioru empirycznych szczegółów. Co więcej, stałaby się bezbronną wobec najdzikszych przypuszczeń i najniedorzeczniejszych przesądów, których nie mogłaby odrzucić i potępić dlatego tylko, że doświadczalnie nie może wykazać ich fałszywości. Tak jednakże nie jest. W każdej gałęzi nauki, nawet najbardziej ścisłej, znajdujemy mnóstwo twierdzeń i przeczeń, które są tylko dedukcyjnymi wnioskami z prawd, wykrytych drogą indukcyi, które przeto są twierdzeniami i przeczeniami czysto *a priori*.

Mechanika naprzykład, opierając się w swych wywodach na zasadzie trwałości siły, nie potrzebuje czekać na przyszłe doświadczenia, ani też odwoływać się do przeszłych, ażeby mogła wypowiedzieć swe przekonanie o tak zwanem *perpetuum mobile*. Wychodząc z założenia, ustalonego doświadczeniem, że wszelki ruch odbywa się kosztem siły, która podczas niego ulega przemianie, rozprasza się i w końcu ginie, może ona myśl o *perpetuum mobile* odrzucić *a priori*, jako mrzonkę fantastyczną, sprzeciwiającą się prawom rzeczywistego świata. Wynalezienie bowiem *perpetuum mobile* nie byłoby czem innem, jak obmyśleniem przyrządu, któryby albo zabezpieczał siłę od rozpraszania się podczas ruchu, albo ją stwarzał na nowo z niczego, w miarę jak się przez ruch zużywa.

Nauka albo ma pewne prawdy, albo ich niema. Jeżeli niema żadnych pewników, na którychby mogła się oprzeć w swych wywodach, jeżeli wszystkie jej twierdzenia są tylko przypuszczeniami tymczasowemi, natenczas przestaje ona być nauką we właściwem tego wyrazu znaczeniu. Jeżeli zaś ma, to musi je uważać za prawdy bezwzględne dla pewnego szeregu faktów— t. j. za takie, które w tych samych warunkach muszą być uznawane za prawdy zawsze i wszędzie. W takim razie ma ona prawo przyjmować lub odrzucać wszystkie twierdzenia lub przypuszczenia stosownie do tego, czy one się zgadzają z jej założeniami lub im się sprzeciwiają, i nie potrzebuje czekać na przyszłe doświadczenia, od których, co najwięcej, może żądać stwierdzenia swych wyroków.

Kwestya jasnowidzenia wraz z pokrewnemi jej kwestyami przeczucia, przewidywania, należy do zakresu psychologii, a mianowicie do tego jej działu, w którym zajmuje się ona naturą i warunkami poznania. Jakkolwiek bowiem będziemy się na nie zapatrywali, musimy w nich uznać nic co innego, jak pewien rodzaj poznania, odmienne sposoby nabywania znajomości o rzeczach zewnętrznych. Pragnąc więc rozstrzygnąć pytanie, czy jasnowidzenie jest możliwem, czy możemy uważać przeczucia i przewidywania za fakty rzeczywiste, potrzebujemy tylko uprzytomnić sobie w umyśle to, czego nas uczy psychologia o naturze poznania i jego warunkach.

Wprawdzie, nie odznacza się dziś jeszcze psychologia tą ścisłością, jakiej od niej wymagać mamy prawo, i pozostawia wiele kwestyi nierozstrzygniętych i wiele wątpliwych, a nawet nie wszyscy zgadzają się na reformę, jaką ostatniemi czasy do niej wprowadzono, stawiając ją na stanowisku nauk przyrodniczych i zastosowując w niej metodę indukcyjną. Niemniej przecież są w niej pewne dane, na które wszyscy psychologowie, do jakiejkolwiek szkoły należą, zgadzają się najzupełniej i uważają je za pewniki.

Pomijając mistyków, którzy swych twierdzeń niczem nie usprawiedliwiają i w swej teoryi o poznaniu fantazyują raczej na dany temat, niż rozumują, weźmiemy pod uwagę dwie panujące dziś teorye poznania. Podług jednej, opierającej się na doświadczeniu, wiedza ludzka sprowadza się do spostrzeżeń zmysłowych i do faktów wewnętrznej świadomości. We wszystkich sprawach poznania — w pojęciach, sądach, wnioskach, w najgenialniejszych pomysłach, nie widzi ona nic innego, jak coraz wyższe uogólnianie przez wykrywanie podobieństw w różnicach, jakie nastręczają umysłowi fakty świata zewnętrznego i wewnętrznego. Druga teorya, usiłująca pogodzić doświadczenie z założeniami metafizyki, utrzymuje, że jakkolwiek pierwsze, dostarczające umysłowi materyału, jest koniecznem dla poznania i bez zmysłowej treści wiedza jest niemożliwą, z tem wszystkiem są pewne pojęcia i sprawy umysłu, które nie dadzą się sprowadzić do spostrzeżeń i są czemś więcej, niż samem tylko ich uogólnieniem. Umysł ludzki zawiera w sobie pewne idee, stanowiące jego istotę, jak: pojęcia czasu, przestrzeni i przyczyny, które lubo potrzebują do swego ujawnienia się zmysłowej treści, są jednakże od niej niezależne i nad nią panują. Dzięki tym pojęciom, gotowym w umyśle, a nienabytym, czuje się człowiek zdolnym uporządkować swe spostrzeżenia i doświadczenia i cały zasób swej wiedzy sprowadzić do syntetycznej jedności.

Nie będę się zastanawiał tu nad tem — która z dwu tych teoryi jest prawdziwszą: chodzi mi bowiem nie o to, czem się one różnią od siebie, ale o to, w czem się zgadzają. Otóż każdy musi przyznać, że obie te teorye uznają za konieczny warunek poznania zmysłowe postrzeganie. Uczą nas one, że rzeczy zewnętrznego świata, czyli, mówiąc inaczej, wszystko to, co leży po za naszem *ja*, znamy tylko pośrednio, za pomocą naszych zmysłów i że umysł nasz nie może, że tak powiem, wyjść z siebie na zewnątrz i bezpośrednio zetknąć się z tem, co nie jest jego myślą, uczuciem, postanowieniem, co nie jest nim samym, ale mu obcem. Jedyną drogą poznania rzeczy zewnętrznych są zmysły, ograniczone czasem i przestrzenią.

Czy z tym pewnikiem naukowym da się pogodzić to, co wyraźnie lub domniemalnie przypuszcza wiara w jasnowidzenie, w przeczucia i proroczе widzenia?

Wiara ta obdarza człowieka zdolnością wznoszenia się umysłem w wyjątkowych warunkach po nad wszelkie ograniczenia zmysłów, wyzwalania się z ich więzów i bezpośredniego ujmowania, drogą wewnętrznej intuicyi, tego, co nie jest nim, co mu jest obcem i leży zewnątrz niego. Zdolność ta pozwala mu przenikać cudze myśli i uczucia, czytać w ich duszy, jak w otwartej księdze, nie potrzebując do tego żadnych zewnętrznych znaków, oraz okiem ducha, nieprzyćmionem cielesnemi wrażeniami, oglądać rzeczy, które oddziela od niego niezmierzona przestrzeń, jako też wypadki, które kiedyś się stały lub stać się dopiero mają w mniej lub więcej odległej przyszłości.

Każdy się zgodzi, że przyznawać człowiekowi tego rodzaju zdolność, jestto przypuszczać, że umysł człowieka może w pewnych warunkach wyjść z siebie na zewnątrz. Otóż przypuszcenie tego rodzaju ma tyleż sensu, co usiłowanie szaleńca, który zapragnął własny cień przeskoczyć.

Bezpośrednio, drogą wewnętrznej indukcyi, zna człowiek tylko stany swej świadomości, swe myśli, uczucia i chcenia, słowem, to, co stanowi jego jaźń; wszystko zaś inne, co leży po za granicą jego świadomości, co się kryje w mroku cielesnego jego życia, albo też leży zewnątrz niego, jako świat przedmiotowy, poznaje on pośrednio, za pomocą zmysłowego postrzegania. Czego nie wyważy własnym trudem z głębi swego serca, czego nie zdobędzie własnem doświadczeniem i rozwagą lub nie nauczy się od innych — o tem żadną inną drogą nie dowie się. Odgadujemy wprawdzie przyszłe wypadki, ale o tyle tylko, o ile one są koniecznem następstwem pewnych przyczyn, do których zbadania dostarcza nam danych przeszłość i teraźniejszość — a odgadywanie nasze nie jest czem innem, jak wnioskowaniem, wtedy tylko trafnem, gdy przypuszczalne przez nas warunki nie zmienią się. Przeczuwamy nieraz zagrażające nam klęski, ale dzieje się to pod wpływem obaw, świadomie lub nieświadomie działających na nas, i spełnienie się tych obaw niema żadnego bezpośredniego stosunku z naszemi przeczuciami. Umiemy przenikać cudze myśli i uczucia, ale o tyle tylko, o ile pilnem badaniem nauczyliśmy się znaczenia pewnych zewnętrznych znaków, jakie towarzyszą ludzkim zamiarom, myślom, uczuciom i całemu ich postępowaniu. Rozumiane w innem znaczeniu fakty i podania, cytowane na potwierdzenie jasnowidzenia, przeczuć i przepowiedni, są, jeżeli nie wymysłem i szarlataneryą, to w każdym razie złudzeniem umysłu, nieświadomego wewnętrznych swych spraw i ich natury.

Władysław Kozłowski.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

J. Goldszmit, **Dobroczyńca jakich mało.** Warszawa.

Ponętnym zawsze dla głosicieli sławy narodowej bohaterem będzie najpotężniejszy może charakter, jaki się w Polsce kiedykolwiek wychował — ks. St. Staszic. Jest to postać tak olbrzymia, tak wspaniała, że z najpobieżniejszego wizerunku wyrasta swoimi niezwykłymi rozmiarami. Niema tak nieudolnego biografa, któryby nie umiał przedstawić Staszica wielkim. To też jakkolwiek broszurka p. Goldszmita, widocznie dla popularnego użytku przeznaczona, jest szkicem nader pospiesznym, nie zmniejsza jednak rozległych zasług swego bohatera. Autor zwraca wyłącznie uwagę na filantropijną i społeczną działalność Staszica i dziwi się, że ona „tak niewielu dotąd historyków i krytyków znalazła.“ Podzielamy owo zdziwienie z tym wszakże warunkiem, że inna, piśmiennicza strona daleko mniej jeszcze jest ocenioną, a nawet znaną. Od niewiadomości w tym względzie nie jest wolny i p. Goldszmit, według którego „Staszic nie wybitnieje w pierwszych szeregach dziejów literatury.“ Nie liczymy za szczególny grzech p. G., że nie czytał widocznie poematu p. t. *Ród ludzki*, bo go nie czytało wielu naszych historyków literatury; ale musimy się zdziwić, że tak niepochlebną dał cenzurkę *Przestrogom* i *Uwagom*, o których wspomina. Staszic „nie wybitnieje“ jako pisarz, bo u nas nie wybitnieją również badacze literatury ojczystej; gdy ci obficiej się znajdą, i on może do „pierwszych szeregów“ się dostanie. Lekceważenie filozoficznego i socyologicznego stanowiska Staszica w piśmiennictwie naszem jest cechą bezprzykładnej niedbałości w szanowaniu, czy nieumiejętności w rozumieniu swej chluby. To też jakkolwiek książeczka p. Goldszmita nie przynosi nam nic nowego (chyba całkowicie w niej przedrukowany testament), radzi jej jesteśmy jako nowemu przypomnieniu, że przed pół wiekiem

za kościołem Kamedułów na Bielanach złożono do grobu w skromnej trumnie wielkiego polaka i wielkiego człowieka, któremu dotąd nikt nie wystawił godnego pomnika w literaturze. *S.*

Lusława, Straszne skutki zaniedbanego wychowania, powiastka; **Podzielona osada** czyli skutki rządności i niedbalstwa, powiastka. Warszawa, 1881.

Obie powyższe powiastki z charakterem na wskroś dydaktyczno-moralnym są przeznaczone dla ludu wiejskiego, a świadczą z jednej strony o dobrych chęciach autorki, z drugiej zaś dowodzą słabej znajomości jej i pewnej dziwaczności w ujęciu faktów i odmalowaniu stosunków wiejskich. I tak autorka w pierwszej powiastce przedstawia zamożną i oszczędną rodzinę wieśniaczą, której jedynem zmartwieniem jest brak dzieci. On, karbowy dworski, jest mądrym człowiekiem, którego zacni właściciele dóbr wielce szanują i cenią; ona — dobrą, rządną gosposią. Na skargę karbowego i jego narzekania radzi pani, by wziął na wychowanie nieślubną córkę mamki dworskiej. Następuje zgoda, lecz owa mała dziewczynka, pieszczona i ukochana, staje się przyczyną nieszczęść; złośliwa, przebiegła, drażni przybranych rodziców, wadzi ich z sobą — wreszcie powoduje śmierć swej opiekunki i zmusza karbowego do wyrzeczenia się wyrodnego dziecka. Taka jest treść powiastki. Czy ona nie nasunie czytelnikowi myśli, że dziecię wzięte na wychowanie, przytulone do serca zacnej rodziny, dziecię, któreby niechybnie zmarniało w domu podrzutków — należy odtrącić, bo ono staje się przyczyną nieszczęść? Myśl ta jest tem jaskrawszą, że prawe dzieci są przedstawione w świetle korzystnem.

Nieznajomość ludu widzimy w tonie dydaktyczno-macierzyńskim. Czasby już było wyjść z tego zaczarowanego koła idylicznych obrazów o kmiotkach, dla których autorowie i autorzy są doświadczonymi, starszymi braćmi, którzy karzą i straszą prostaczków. Pod strzechami wieśniaków nie żyją dzieci, lecz ludzie dojrzali, którzy posiadają swoją własną filozofię, swe ideały, zapatrywania, swój świat towarzyski, arystokratyczny i demokratyczny i odrębne pojęcia społeczno-rodzinne. Kto chce działać na lud, musi zżyć się z nim, odczuć jego potrzeby moralne i materyalne, iść torami jego myślenia i stosowne, żywotne dla niego stawiać ideały, a nie według recepty, w której napisano: tyle granów oszczędności, tyle czystości, tyle porządku i zamożności, wstręt do wódki i innych nałogów, zmieszać to razem, nadać pokost bojaźni bożej i uszanowania dla dworu, ubrać w porządną kapotę i całe buty — i ideał gotowy. Tą drogą nie trafimy do ludu, czytanie nie będzie go interesowało, nie stanie się potrzebą moralną. Realizm w powiastkach ludowych i nader wybitna plastyka obrazów, oto konieczne warunki powodzenia takich utworów.

Druga powiastka kreśli nam dzieje majątku wieśniaczego, podzielonego pomiędzy dwu synów, z których starszy był rządnym, dzielnym i cnotliwym gospodarzem, wychowany w karności i w pracy przez ojca, a drugi, rozpieszczony przez babkę, posiada wszystkie możliwe ujemne przymioty moralne. Wcale barwnie maluje autorka upadek gospodarstwa syna młodszego a wzmagający się majątek, powagę i wziętość starszego. Lecz znów zarzucilibyśmy p. Lusławie, że jej postacie są sylwetkami, wykrojonemi według wzorów moralno-dydaktycznych, a nie ludźmi. Czyż może się w nich który z wieśniaczych czytelników przejrzeć?

A. G.

Księgi Podskarbińskie z czasów St. Batorego (1576—1586) w dwu częściach (Źródeł Dziejowych t. IX.), wydał A. Pawiński, Warszawa.

Prof. Pawiński niedługo czekać nam każe na nowe dowody swej pracy. W tym roku wydaje już drugi (o pierwszym mówiliśmy w *Prawdzie* szczegółowo) a z kolei dziewiąty tom „Źródeł dziejowych." Są to wykazy rozchodu i przychodu skarbu nadwornego. Jak szan. badacz objaśnia w przedmowie, materyały te składają się z „plik" "t. j. rachunków szczegółowych, zachowanych w nieporządku i niekompletnie, oraz z ksiąg ogólnych, rocznych — spisanych i zachowanych starannie. Otóż p. Pawiński wydał tylko te ostatnie, używając pierwszych jedynie do sprostowań lub uzupełnień. Pomimo starań, nie mógł zebrać całkowitego materyału w oznaczonem dziesięcioleciu. Brak dwu lat 1579 i 1584, podczas których król Stefan bawił na Litwie lub po za granicami Korony, zajęty przygotowaniem do wyprawy i obleganiem Połocka. *Księgi Podskarbińskie* pisane są po łacinie.

Okładka książki uwiadamia nas, że wyszedł również tom X „Źródeł dziejowych" p. t. *Sprawy wołoskie za Jagiellonów*, w którym p. A. Jabłonowski, współpracownik prof. Pawińskiego w tem wydawnictwie, ogłosił oraz historycznym szkicem objaśnił „akta i listy." Tego wszakże tom nie znamy. *W.*

Lira polska, Warszawa, B. Lesman.

Na szczęśliwą myśl wpadła firma księgarska, której zawdzięczamy dzieło Langego, wydając piękny i ozdobny zbiorek poezyj najznakomitszych wieszczów naszych. Są w tym bukiecie urocze kwiaty poezyi polskiej. Ze starszych Kochanowski, z nowszych Mickiewicz, Syrokomla, Zaleski i Goszczyński, z najnowszych Asnyk — dostarczyli najwięcej pereł do tego naszyjnika polskiej Muzy. Nie powiemy, ażeby wybór zrobiono zawsze najszczęśliwszy (n. p. trudno pojąć czem na wyróżnienie zasłużył sobie zaścianek Dobrzyńskich, nie zaś pierwszy lepszy wschód lub zachód słońca w *P. Tadeuszu*) — nie podnosimy wszakże zarzutów wobec cyferki 1, która zapowiada dalszy ciąg *Liry polskiej*. Dla tego samego względu oszczędzamy wymówki za niepomieszczenie Konopnickiej, oraz za kilka usterek korektorskich, które do tak wytwornej książeczki zakraść się nie powinny. A jest ona wytworną: papier drogi, druk czysty, format miniaturowy, a nie zapomnijmy o nader ważnej zalecie — cena kop. 30. Do salonu i wagonu jako rozrywka lepsza, niż funty kłaków, na dworcach sprzedawane. *P.*

Historya Literatury Powszechnej Jana Scherra, tłom. B. Zawadzki, Warszawa, Gebethner i Wolff.

Trzeci dopiero zeszyt przekładu tego dzieła wydobył się z pod prasy, pomimo że według ogłoszenia miało ono całkowicie (w 6 zeszytach) wyjść w roku bieżącym. Ukończony dotąd tom pierwszy zawiera: Wschód, Grecyę i Rzym, wieki średnie i nowsze we Francyi i Włoszech. Wobec niedokończonej książki trudno nam mówić o jej wartości i przekładzie, gdyż po ukończeniu go musielibyśmy znowu powracać do tegoż samego przedmiotu. Dziś więc tylko zaznaczamy posuwanie się naprzód wydawnictwa, które, gdyby dobiegło do końca, mogłoby w obecnej porze stanowić (jak w Niemczech) bardzo właściwy dla doroślejszej młodzieży dar gwiazdkowy.

K.

Historya filozofii materyalistycznej, F.A. Langego, tłom. F. Jezierski. Warszawa, B. Lesman.

Jeden już tylko zeszyt pozostaje do zamknięcia tego znakomitego dzieła, które jest pięknym nabytkiem naszej literatury przekładowej. Rozbiera w nim autor dalszy ciąg współczesnych zagadnień filozoficznych, o ile one odbiły się w materyalizmie. Tu najwyraźniej rysuje się jego stanowisko i najlepiej uwydatnia się głęboki krytycyzm, który przyjmując wdzięcznie wszystko, co zdobyła niepodległa wiedza nowożytna, umie cenę i trwałość jej darów ściśle określić. Po skończeniu druku przekładu, ogarniemy wraz z czytelnikiem całą treść dzieła Langego. *S.*

Z GALICYI.

Lwów, 7 grudnia ~~*1871*~~ 1881.

Boś ty jedyny syn Prometeusza!
Sęp ci wyjada nie serce—lecz mózgi.
J. Słowacki.

Pod takim godłem wysyłam pierwszy swój list z prowincyi, „gdzie widmo nadziei dla małowiernych serc podobnem jest snowi."

Mógłby kto wnosić z przytoczonych tylko co wyrazów, że wstępuję w ślady owych korespondentów, którzy, zbyt poddając się swemu pesymistycznemu uspobieniu, odsądzili Galicyę od wszystkich cnót społecznych, którzy, upatrując złe tam nawet, gdzie go niema, przedstawiają nasze społeczeństwo, jako zobojętniałe na wyższe cele, zepsute do szpiku kości.

Przeciwko takiemu posądzeniu zastrzegam się bezwarunkowo. Nie taję, że więcej u nas złego, niż gdzieindziej; że stan naszych stosunków ekonomicznych i społecznych jest opłakany; jednakże przyczynę tego złego widzę nie w moralnym upadku kraju, ani w jego zobojętnieniu na zadania narodowe; ale w tem, że dzięki warunkom położenia, w jakiem do niedawna jeszcze znajdował się, nie mógł się dotąd jeszcze rozpatrzeć w swych kłopotach i zdobyć na postanowienie, co ma robić i w jakim kierunku działanie swe prowadzić. Przerzucając się z jednej ostateczności w drugą, paraliżowany w swych zamiarach wewnętrzną niezgodą, gromiony surowo ze wszystkich stron z powodu swej nieporadności, stracił wiarę w siebie i do wszystkiego zabiera się z niedowierzaniem, bez energii i mocnego postanowienia, bądź co bądź, doprowadzić do końca rzecz, którą się raz zaczęło. Dodać do tego jeszcze potrzeba sangwiniczne nieco usposobienie naszego ogółu, w którego sercu, jak powiada Słowacki, nie trwa myśl ani nawet godziny — a będziemy mieli zagadkę rozwiązaną.

Gdyby przyszło oceniać nasz kraj ze stanowiska czysto uczuciowego, biorąc na uwagę same tylko dobre chęci, których nie można odmówić ani jednostkom, ani zbiorowym ciałom — to musielibyśmy wydać wcale pochlebny wyrok o Galicyi. Inny atoli wypadnie sąd, gdy sięgniemy myślą głębiej, gdy zapytamy o owoce naszych dobrych chęci, gdy się przypatrzymy wynikom naszego krzątania się i gorliwej nieraz pracy nad dobrem publicznem. Wtedy musimy mimowoli zawołać z naszym poetą: Sęp ci wyjada nie serce, lecz mózgi!

Pocieszającym w każdym razie objawem jest to, iż przyszliśmy już do przeświadczenia, że źle jest z nami i że trzeba na dobre zabrać się do poprawy. Przeświadczenie to znalazło nawet swój wyraz w wykrzykniku, którym zaczynamy i kończymy swe zdania i uwagi o wszystkich naszych sprawach. Jest nim: A! to po galicyjsku!

Jakie ma znaczenie ów wykrzyknik, objaśni wywód następujący:

Wszyscy czujemy i głęboko uznajemy, że dalej tak iść rzeczy nie mogą; ale jak dotąd nie możemy się porozumieć, gdzie leży przyczyna złego, nie możemy się zgodzić na środki, za pomocą których należałoby to zło w samym zarodzie przytłumić

Przemyśliwają nad tem wszystkie stronnictwa nasze, ale każde gdzieindziej szuka ratunku i zbawienia. I dla tego wszyscy, jak jesteśmy, podobniśmy do doktorów, którzy, stojąc u łoża chorego i nie wiedząc, co mu jest, kiwają poważnie głowami i powtarzają: źle, źle! Nie wiedząc, do jakich leków się uciec, jak się zabrać do racyonalnego leczenia, ograniczają się na doradzaniu hygienicznych środków. Ale cóż, kiedy i pod tym względem nie mogą się zgodzić na jedno. Ci utrzymują, że potrzeba chorego zostawić własnej jego naturze i nic nie robić; tamci radzą, ażeby mu dać na wzmocnienie; inni znowu twierdząc, że wszelkie choroby pochodzą ze zbytku ruchu i myślenia, które wyczerpują żywotne siły organizmu—zalecają, by chorego owinąć w powijaki, ażeby się nie mógł ruszyć i zabronić mu najsurowiej myśleć. Taką radę na cierpienia naszego kraju zalecają stańczycy krakowscy.

Na tegorocznej sesyi sejmowej wystąpili właśnie stańczycy z projektem, który miał na celu ni mniej, ni więcej, jak sprowadzenie autonomii krajowej do zera, do stanu, w którym pozostałaby z niej sama tylko nazwa bez znaczenia. Chcieli oni mianowicie, ażeby przewodniczącymi rad powiatowych, na których czele stoją marszałkowie, wybieralni przez powiaty, byli odtąd starostowie, mianowani przez rząd. Kierowali się oni w tem nie samą tylko lojalnością względem rządu, ale wyrachowaniem, że w ten sposób rządy dostaną się w ich ręce i będą mogli z całą swobodą zabrać się do zreformowania kraju podług swego planu. Trzeba bowiem wiedzieć, że między marszałkami powiatowymi znajdują się ludzie, którzy się zdala trzymają od możnowładno-ultramontańskich dążności stańczyków, gdy tymczasem starostowie staliby się ślepem w ich ręku narzędziem, raz dla tego, że jako urzędnicy polityczni zależni są od namiestnika, który sam jest stańczykiem, a powtóre dla tego, że większa ich część składa się z hrabiów austryackich, którzy, jeżeli nie ze szkatuły, to z tytułu uważają się za przedstawicieli krajowej arystokracyi.

Jak wiadomo, ponieśli stańczycy stanowczą w sejmie klęskę, która tem dotkliwszą jest dla nich, że kilkunastu posłów wystąpiło z ich koła. Do tej klęski przyczyniła się znacznie partya szlachecka, która, chociaż w wielu sprawach szła i zawsze pójdzie ręka w rękę z krakowskiem stronnictwem, tym razem wystąpiła przeciwko niemu, posłuszna sakramentalnemu hasłu, wypowiedzianemu przed rokiem przez swego przewodnika: „Naj bude, jak buwało.“

Mimo to wszystko, klęska ta nie osłabiła tak bardzo stańczyków, którzy tem są silni, że słabem i niezaradnem jest stronnictwo postępowe, mające wiele odwagi i stanowczości, gdy idzie o rozprawianie w ciasnem kółku zwolenników, ale nieśmiało i z oglądaniem się przystępujące do działania. Jakoż widzimy, że chociaż w wyborach na posła z Krakowa do Rady Państwa przegrali stańczycy, wygrana przecież postępowców nie może się zaliczyć do ich tryumfu, zważywszy, że wybrany przez nich poseł jest karyerowiczem, któremu głównie chodzi o wyniesienie się jakimkolwiekbądź kosztem. Za to stanowcze odnieśli zwycięztwo nad stronnictwem postępowem w tarnowskiem, gdzie wybrano posła do Rady Państwa jednego z najzagorzalszych ich stronników.

Główną przyczyną słabości stronnictwa postępowego, oprócz tej, o której powyżej nadmieniłem, a którą jest brak wiary w siebie, jest to, że nie posiadamy ani jednego pisma, któreby będąc wyrazem wolnomyślnych zasad, wiernie stało pod rozwieszonym sztandarem i służyło za widomy znak dla stronnictwa w jego krzątaniu się i zabiegach około pracy publicznej. *Dziennik Polski*, mający być organem postępowej partyi, w gruncie rzeczy niewiele się różni od *Gazety Narodowej*, redagowanej w duchu szlacheckich tradycyj, których symbolem jest kontusz, tak jaskrawie wyróżniejący się od mieszczańskiej czamary i wiejskiej sukmany. Zresztą oba te dzienniki mają to wspólnego, że nie mają zgoła żadnej redakcyi, że każdy z ich współpracowników kieruje się osobistymi przekonaniami i sympatyami, które wtedy tylko ulegają pewnemu ograniczeniu, gdy wypadnie mówić o kimś lub o czemś, z kim sympatyzuje główny redaktor, albo z czem pośrednio lub bezpośrednio związane są interesy wydawnictwa. Są to bowiem przedsiębiorstwa obliczone głównie na zysk. Nie powiadam, żeby nie miano w nich na względzie dobra publicznego, traktuje się ono w nich jednakże warunkowo, o ile na to pozwalają pewne względy i względziki, a nawet sama grzeczność. O, bo my jesteśmy zawsze bardzo grzeczni! Jest to nasza cnota, którą się chlubimy, chociaż nieraz zmuszeni jesteśmy zajadać później gorzkie jej owoce, że aż nam łzy do oczu podchodzą.

Dla tego też z wielką radością przyjęliśmy zapowiedź nowego dziennika, który od nowego roku ma wychodzić w Krakowie i który będzie organem postępowego stronnictwa. Czy potrafi on spełnić wszystkie nadzieje, jakie budzi w nas sama jego zapowiedź? Trudno dać na to kaucyę, a to tembardziej, że jak utrzymują powszechnie, na czele jego ma stać człowiek, który przed siedmiu laty wydawał we Lwowie dziennik i pozostawił po sobie wspomnienie nie bardzo przychylne dla swej osoby i źle rokujące dla pisma, którem ma kierować. Pocieszającem jest to tylko, że wydawcą tego pisma jest kto inny, bogaty kapitalista, który zakłada dziennik dla tego tylko, ażeby ułatwić krajowi walkę ze stańczykami. Administracya więc dziennika będzie niezależną od redaktora głównego, a to właśnie daje główną rękojmię że dziennik potrafi utrzymać się, mając zapewnione fundusze na cały rok (!) Kierownictwo fejletonu obejmie znany zaszczytnie w naszej literaturze Adam Asnyk. Winą to więc będzie redakcyi politycznej części dziennika, jeżeli przez ciąg roku, w którym nie będzie potrzebowała troszczyć się o materyalną podstawę bytu, nie zdoła zapewnić swemu pismu stałego istnienia, tembardziej, że potrzeba dziennika o postępowych zasadach, zgodnych z interesami kraju, odczuwać się zdaje powszechnie.

Łada.

LIBERUM VETO.

Dwie komety. — Co to będzie. — Wskazówka dla sabeizmu teatralnego. —Sąd Parysa i ofiarowanie jabłka p. Modrzejewskiej. — Sara Bernard jako płaszczyzna. — Co ja bym zrobił i co zrobić powinien szczęśliwy p. W. Landau. — Jego dowcipne wydobycie się z pułapek wspaniałomyślności. — Trzy butelki wina za 9,800 rs. — Odczyty. — Niecierpliwy Icek F. — Największy wynalazek. — Sposób dojechania do nieśmiertelności.

Z dwu stron: od południo-wschodu i północo-zachodu nadciągają ku nam dwie złowrogie komety z długimi ogonami—panie Sara Bernard i H. Modrzejewska. Gdy nasi dziennikarscy Wernychorzy zapowiedzieli koniec świata na ostatni miesiąc bieżącego i pierwszy następnego roku, pozwoliłem sobie wątpić o prawdzie tej wróżby; dziś wszakże widzę, że nam istotnie grozi straszne zniszczenie, co najmniej... rozumu. Wiecie, jaki zawrót w głowach sprawia u nas teatr codziennie, chociaż w nim błyszczą tylko panie Czaki i Marcello; wiecie, jakich doznaliśmy przypadłości podczas pobytu pani Modrzejewskiej; domyślacie się po wybuchach zapału w Wiedniu i Odesie, do czego by nas doprowadziła sama S. Bernard; no, a teraz wyobraźcie sobie, co będzie, gdy wszystkie te meteory razem się zbiegną, gdy nietylko panna Marcello stanie obok p. Czaki, ale Sara Bernard obok Modrzejewskiej! Mrużę oczy na samą myśl skupienia się tylu świateł, a w mózgu wiruje mi piekielny taniec wrażeń teatralnej dżumy. Już widzę krytyków, przeglądających ponownie Saint-Beuve'a i Lewesa, a nawet Lessinga i kreślących w duszy „paralele“; już widzę zecerów, składających zapasy zwykle używanych wyrażeń zachwytowych, jak: boska, pogłębiona itp.; już widzę połamane żebra zwyciężonych przy kasie i dumne miny zwycięzców, zamawiających u Szustra lub Mestenhauzera litery wizytowe z napisem: N. N. abonent krzesła na przedstawienie Sary Bernard. Czy p. J. Jeleński nie wykaże przytem, że *żydzi* zagarnęli wszystkie bilety a *nam* się nic nie dostało; czy pełna nadziei redakcya nie poroni ze wzruszenia przed czasem *Słowa*; czy konsystorz nie otrzyma próśb o rozwody i separacye z powodu niedostarczenia przez mężów żonom ani jednego kuponu do loży; czy nareszcie gościnne występy artystek nie popsują ruchu tramwajów, nie opóźnią kanalizacyi, kolei dęblińsko-dąbrowskiej i towarzystw pomocy naukowej dla uczniów gimnazyalnych—tego, naturalnie, przepowiedzieć nie mogę. To tylko pewna, że one głębiej oddziałają na życie nasze, niż samorząd miejski (bo w nim jedna tylko może być *głowa*) i obdarzenie ziemią czynszowników. Skoro wszakże nieszczęścia odwrócić nie można, radbym przynajmniej uczuciom sabeistów teatralnych nadać właściwy kierunek. Wiadomo z *Pięknej Heleny*, że Parys ofiarował jabłko bogini najurodziwszej. Nie wchodziłbym w jego prawa i podejmował drażliwego sądu między niewiastami, gdyby one nie występowały publicznie i gdyby oceniany przez Parysa przymiot nie był koniecznym warunkiem artystki — zwłaszcza grywającej *Cudzoziemkę*, *Damę kameliową* i *Frou-Frou*. Brzydka aktorka jest takiem samem *contradictio in adjecto*, jak np. dziobata Wenus, jak ptak bez skrzydeł a mędrzec bez rozumu. Otóż mam honor oświadczyć, że według mego gustu, p. H. Modrzejewska jest (jako artystka) piękną, a p. S. Bernard tak brzydką, że Parys nie ofiarowałby jej nawet leśnego jabłka. Kiedy przechwala się na scenie, że samym swym widokiem zabija mężczyzn, pojmuję to zawsze w znaczeniu dosłownem i szczerze żałuję przystojnego księcia, który musi się kochać w takiej *cudzoziemce*. Ja na jego miejscu poprostu uciekłbym ze sceny i wytoczył proces dyrekcyi teatrów za to, że mnie naraziła na estetyczne przerażenie. Nie pojmuję nawet, jak kobieta, posiadająca dwa tylko wymiary płaszczyzny i rysy twarzy silnym prognatyzmem wykoślawione, może udawać czarodziejkę. Wprawdzie umiejętność rzeźbienia, chodzenie w męskich spodniach, puszczanie się balonem, sypianie w trumnie i telegrafowanie o każdej swej awanturze do *Figara* — coś znaczy, ale ja wolę zdolności, odwagę i energię Modrzejewskiej, która także miewała swoje *Figara* w Warszawie, ale w nich nie reklamowała się sama. A gdy dodam, że i gra jej lepiej mi się podoba, to pojmiecie, dla czego wolałbym, ażeby opisany w *Kuryerze Codziennym* nieunikat sprzedał był starożytne biurko dla kupienia sobie biletów na występy naszej artystki, niż francuskiej. Nie myślę wszakże tym wywodem tamować nikomu wolnej woli, przeszkadzać w łamaniu sobie i innym żeber przy kasie; a nawet gdyby dr. Pląskowski i Rothe ucieszyli się skutkami pobytu artystek w Warszawie, ja z obowiązku tolerancyi nad nimi nie zapłaczę. Trudno, bywają gorsze zarazy...

Jeżeli kto nie będzie na przedstawieniach Sary Bernard, to być na nich powinien p. Wilhelm Landau, który świeżo pomścił się sądownie na złodziejach 105,200 rs. Tyle skradzionych pieniędzy odzyskać, niewinnie oskarzonego o kradzież za posądzenie i pięciomiesięczną kozę z synem nie wynagrodzić i jeszcze wbrew ogłoszeniu w *Kuryerze Warsz.* zamiast 10,000 rs. za odkrycie winowajców dać 200 — no, po tak szczęśliwej operacyi można sobie pohulać i kupić bilet na występy nawet obu artystek. Jak się takie interesy robi? może spytasz czytelniku. Odpowiem ci sprawozdaniem sądowem. Po wyznaczeniu w pismach 10,000 nagrody za odnalezienie złodziejów, p. W. Landau odebrał list od niejakiej Stawiarskiej, która za powyższą sumę zobowiązała się dostarczyć mu klucza do tajemnicy. Poszkodowany zgodził się, Stawiarska wskazuje winnych i otrzymuje... 200 rs., starą suknię i pierścionek. Niedość tego. Zeznaje ona w sądzie: p. Landau kazał przynieść trzy butelki wina— którem jej dawniej nie częstował, gdy przychodziła do prasowania — zakręciło mi się w głowie, wtedy pan proponuje, abym podpisała jakąś kartkę i przyrzeka, że wypłaci mi całą sumę z owych 10,000 rs., jaka pozostanie „po opłaceniu sądu i policyi". Jak wiadomo, pozostało mu... rs. 200, stara suknia i pierścionek. Skąd się wzięła taka dziwna reszta, nie znając reguł poprawnego odejmowania, powiedzieć nie umiem. Wiem tylko, że jeśli komu znowu ukradną 150,000 rs., ten ktoś ogłosi w pismach, że za wykrycie winowajców da 10,000, przyszła Stawiarska powie: znam ja wasze obiecanki — nie głupiam. Jakkolwiek nie czuję żadnej troskliwości o kasę p. Landaua, i jabym wołał, ażeby się była znalazła jakaś poczciwa kobiecina, któraby wydała złodziejów bezinteresownie. Skoro wszakże znalazła się inna, pragnąca korzystać z nagrody, p. Landau nie powinien był uciekać się do... trzech butelek wina, lecz wypłacić wszystko, co przyrzekł. Przebaczyłbym mu wiarołomstwo tylko wtedy, gdyby tak zrobił i rzekł: prawda, obiecałem 10,000 rs. za wykrycie złodziejów, ale ponieważ sądzę, że 200 rs. wystarczy Stawiarskiej za fatygę, przeto 9,800 rs. ofiaruję biednym mojego miasta, wobec którego nie okazałem się dotąd nigdy dobroczyńcą. To byłoby *ehrlich*... ale wykręcić się kawałem i to wcale pospolitym... fe! na honor kupiecki fe!

Ponieważ p. Landau jest widocznie człowiekiem nader oszczędnym i może nawet nie zaabonował krzesła na przedstawienia p. Modrzejewskiej, więc radzę mu kupić tani bilet na jednę z dwu seryj odczytów — w Resursie kupieckiej lub Ratuszu. W pierwszym mówią prelegenci o naukach przyrodniczych, w drugiej o sztukach, ale naturalnie nie o sztukach bankierskich, lecz o starem budownictwie, rzeźbie i t. p. Ktoś także ma wykładać „o opinii publicznej", co także będzie pouczającem. Ja zaś pozwolę sobie przytoczyć następujące z lat dziecinnych wspomnienie. Mieliśmy w gimnazyum bardzo surowego nauczyciela matematyki. Pewnego razu wywołuje on do tablicy małego Icka F. i dyktuje mu zagadnienie: „jeżeli jedna gęś kosztuje 50 groszy, to ile... — „Przepraszam p. profesora — mówi drżący z bojaźni Icek, przerwawszy pisanie — gdzie można dostać takie tanie gęsi?" — „To lekcya smarkaczu, nie targ" — krzyknął nauczyciel, podczas gdy my buchnęliśmy śmiechem. Biedny Icek! ani uroczystość lekcyi, ani zalęknienie przed profesorem, ani obowiązek pomyślenia nad zadaniem— nic nie zdołało w nim stłumić chęci zarobku na tanio kupionych gęsiach.

Ponieważ p. H. Barycki obdarzył mnie już kilkakrotnie zawiadomieniem o „nowowynalezionej, jednokołowej, patentowanej *Jaskółce*, więc muszę o niej wspomnieć; ponieważ zaś sam nie umiem ocenić, więc wyręczę się sądem „generalnego i wyłącznego sprzedawcy *Jaskółek* na całą Europę, Azyę i Amerykę," zwłaszcza że on w określeniu wartości tego swego ptaszka okazał niezwykłą skromność. Jestto— według niego — „jeden z *najświetniejszych*, *najpraktyczniejszych*, *najwięcej wygód i pożytku zapewniających społeczeństwu wynalazków* ostatnich dni," jest to „pomysł, niemający dotąd i *niemogący mieć w przyszłości* równego sobie w danym kierunku." Jeśli nie wiesz, czy domyśliłbyś się czytelniku, że owym wielkim, genialnym wynalazkiem jest dziwaczny, z kilku różnej wielkości kół złożony wózek? „Jeneralny sprzedawca" zapewnia, że wózek ów czyni konia i jezdca „nieśmiertelnymi." Jak to dobrze! Dotąd sława była u nas łatwą, a teraz będzie łatwiejszą. Dość przejechać się raz na „Jaskółce," ażeby zyskać „nieśmiertelność." No, panowie zapoznani, dalej na kozioł!

P. W. Landau nie potrzebuje „Jaskółki," on i bez niej zostanie sławnym, zwłaszcza jeśli prawdą jest, co donosi *Gazeta Polska*, że niewinnie trzymany w więzieniu Szmerek i Stawiarska, zawiodłszy się na hojności szan. bankiera, wytoczyli mu procesy. Ach, gdyby tak sąd przyznał powodom pretensye! Pewnie p. Landau już nigdy nie okazałby się tak wspaniałomyślnym w... ogłoszeniach.

Poseł Prawdy.

W PERSPEKTYWIE.

Rozboje. — Nasza dziczyzna. — Bezsilność środków dotychczasowych. —Oświata i straż bezpieczeństwa. — Co się dzieje z zapisem Sierakowskiej? — Co u nas się robi z ostatnią wolą dobroczyńców kraju. — Gorzelnie czekające na akcyzników. — Opieka nad dziećmi w fabrykach i kredyt ludowy. — Niegrzeczni chłopi.

Jak latem pożary, tak obecnie rozboje wplotły się do naszego życia prowincyonalnego nicią powszednią. Już nie jednostka napada jednostkę, ale całe bandy rabusiów uderzają na dwory i chaty z bronią w ręku. Czasami przypominają nam się okrainy amerykańskie, czasami tatarskie zagony — a zawsze po tych rzeziach i łupiestwach pozostaje smutek w sercu. Barbarzyńskim, dzikim jesteśmy jeszcze narodem, albo też śród nas tkwią żywioły, nieprzetopione dotąd w ogniu cywilizacyi europejskiej. Doprawdy, porzućmy już raz przechwałki o naszej wyjątkowej poczciwości i posłannictwie odrodzania innych ludów, a zajmijmy się odradzeniem siebie. W umoralnianiu jednego ludu niedostatecznym okazuje się ksiądz, w umoralnianiu drugiego — talmud, trzeba wyjść po za środki dotąd praktykowane, leczyć społeczeństwo szkołą, nie bigoteryjnemi, ale uzacniającemi wydawnictwami — słowem oświatą. Do niej należy dodać to. bez czego zbrodnia zawsze swobodnie gospodarować będzie — czujną i rozumną straż bezpieczeństwa publicznego.

W chwili, gdy potrzeba oświaty i umoralniających na lud wpływów tak dotkliwie uczuć się daje, *Korespondent Płocki* opowiada nam smutne, gorszące dzieje zapisu Sierakowskiej. Zacna ta obywatelka, schodząc ze świata bezpotomnie, przeznaczyła cały swój olbrzymi majątek na cele użyteczności publicznej: 20,000 rs. na kościół w Chełmicy; 36.000 rs. na 12 stypendyów; 9,000 rs. na szpitale w Włocławku, Płocku i Lipnie; 4,940 rs. dla rozdania ubogim w czasie nabożeństwa żałobnego, domy w Ciechocinku na powiększenie szpitala miejscowego; inne nieruchomości w sumie 325,000 rs., oraz gotowizna na pensye dożywotnie dla kilkunastu osób; resztę zaś „na niesienie pomocy i zasiłków cierpiącej ludzkości, jak również podupadłym obywatelom przez częściowe wypożyczanie na mały procent rzemieślnikom początkującym, niemogącym nadal dać sobie rady." W każdym innym kraju ostatnia wola zmarłej obywatelki byłaby spełnioną i żaden chciwy kuzynek wobec tak wyraźnego jej postanowienia nie śmiałby robić na nią zamachu i kruczkami prawnymi wydzierać to społeczeństwu, co mu wspaniałomyślnie i dobrowolnie zostało ofiarowa nem. U nas... u nas, chlubiących się tradycyą, patryarchalnością i przywiązaniem do kraju... żądni niezapracowanych tysiączków krewniaczkowie założyli protest przeciwko ważności zapisu i jego wykonanie zawiesili. Nie zastanawiam się nad tym faktem szczegółowiej, gdyż ma on być przedmiotem osobnego w przyszłym nrze *Prawdy* artykułu.

Żadnemu wszakże z kolegów nie pozwolę sobie wydrzeć przyjemności uczczenia akcyzników w Rawskiem, którzy zabawiwszy się gdzieś, nie mogli dotąd—jak donosi *Kur. Codzienny*—przybyć dla spełnienia swych obowiązków i na których gorzelnie z rozpoczęciem pracy czekają już 8 tygodni. Co będzie, gdy panowie akcyznicy wcale tej zimy nie przyjadą? Bardzo rzecz prosta, będące pod ich dozorem gorzelnie wcale się nie ruszą. Widziałem na własne oczy ojca, który zadeklarowawszy wątpliwych siedem bez atu, nie ruszył się z miejsca, gdy dziecko wylało sobie na twarz szklankę gorącej herbaty. Gdyby ów ojciec był urzędnikiem akcyznym i przez kilka tygodni z rzędu miewał 6, 7, 8 lub 9 bez atu, sądzicie, że pospieszyłby do gorzelni?

Jeżeli gazety rosyjskie nie improwizują „reform," jak to zwykle czynią, doczekamy się dwu nowych ustaw, z których jedna rozciągnie opiekę nad dziećmi pracującemi w fabrykach a druga nad kredytem włościańskim. Na tę ostatnią wiadomość zwracam uwagę p. L. Z., który do naszej redakcyi nadesłał obszerny akt oskarżenia własności mniejszej, wyzyskującej większą. Jakkolwiek nie myślę przeczyć faktom w tej filipice podanym a nawet odmawiać narzekaniu korespondenta (zwłaszcza na tamy w poprawie systemu gospodarczego) pewnej słuszności, zdaje mi się wszakże, że głoszenie tego rodzaju skargi jest zbytecznem od czasu, jak ją dziewczynka Syrokomli tak pięknie wytłomaczyła *lalce*.

Ty tylko tego nie wiesz, że my — to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany,
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie
By pracowali na pany.

Brzydkie, brudne, pijane, czysto jak nędzarze,
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni, to bozia ich karze,
Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi:
Doprawdy, że aż szkoda... skąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi!...

Tak, niegrzeczni.

Asan.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 8 grudnia.

Burza w sejmie niemieckim uspokoiła się. Ważnym jej skutkiem — oprócz odrzucenia funduszu na Radę Ekonomiczną i zatwierdzenia etatu — jest nowe małżeństwo ks. Bismarka z partyą środkową (centrum) i prawdopodobne tego związku potomstwo. Kanclerz niemiecki przed za-

warciem go wyspowiadał się, że ustawę o małżeństwie cywilnem narzucili mu ministeryalni koledzy, że t. z. walki kulturnej nie pragnie prowadzić dalej, że lubi... konstytucyę bez parlamentu, spokój bez oporu i rozwój państwa bez idej postępowych. Wobec tych oświadczeń spodziewać się można, że na zbliżającym się sejmie pruskim ustawy majowe, wymierzone przeciw duchowieństwu katolickiemu, zostaną zniesione lub conajmniej złagodzone. P. Windhorst bowiem za piękne słówka nie będzie ze swą drużyną galopował za karetą ks. Bismarka i za tę usługę każe sobie zapłacić ustępstwami dla katolików. Dla katolików? Szczerze mówiąc nie o nich tu chodzi, ale o ich głowę, którą niemcy wabią do siebie. Trudno pojąć, jaka rachuba tkwi w nagłem i zgodnem gruchaniu organów urzędowych do papieża, który dotąd był dla nich przedmiotem ustawicznych napaści. Możliwość przeprowadzenia się Leona XIII do Niemiec jest rozbieraną tak poważnie i z taką wiarą, jak gdyby termin komornego Kuryi w Rzymie jutro upływał. Co za czasy, co za czasy!

Daleko sroższa niż w Berlinie zerwała się burza w Wiedniu. Lewica chcąc w rozpaczy odegrać swoją straconą przewagę, rozpoczęła znowu stawiać na ryzykowne karty. Zaatakowano jednego ministra (Dunajewskiego) o Länderbank, drugiego (Pražaka) o tak zwane objektywne postępowanie w procesach prawnych. Dunajewski odparł pierwsze uderzenie szczęśliwie, czy wytrzyma dalsze, nie wiemy. Mniej zręcznym okazał się Pražak, który za kilka obrażających słów o mało nie uległ parlamentarnej naganie. O całym tym wichrze niemieckim osobny sprawozdawca pomówi niedługo, my więc zaznaczymy tylko główniejsze punkta.

Wiedeń zawrzał na drugim punkcie. Mowa tronowa rumuńska zaznaczywszy zbyt dobitnie pretensye swoje do Dunaju tak obraziła rząd austryacki, że ten polecił swojemu przedstawicielowi w Bukareszcie zerwać dyplomatyczne stosunki. Dotąd jeszcze spór się nie złagodził, niczem jednak wielkiem Europie nie grozi.

We Francyi nowy rząd posuwa się energicznie i gładko. Gambetta, uzyskawszy dalszy kredyt na wydatki wojenne w Afryce, znowu zapisał sobie poważny tryumf. Inni ministrowie, przygotowujący się podobno do rosprawy z klerem, nie zdążyli jeszcze nabić swych dział i okopać szańców. Nauczeni doświadczeniem ks. Bismarka, biorą się do walki ostrożniej.

Z innych stron świata nie dochodzą wieści, zasługujące na podznaczenie. Ta chyba jedna, istotnie wymowna, że Mikado japoński dał swemu narodowi... konstytucyę.

LIST OTWARTY
do szanownych członków Komitetu Redakcyjnego dzieł Jana Kochanowskiego.

Nie utrudzałbym Szanownej Redakcyi prośbą moją o zamieszczenie listu tego w *Prawdzie*, gdyby nie to, iż uważam za rzecz stosowną przemówić publicznie w dość ważnej sprawie, gdy prywatne usiłowania moje nie odniosą pożądanego skutku.

Dosyć już dawno, rok przeszło, jeśli się nie mylę, podnosiłem, w rozmowie ze współtowarzyszami opracowania pism Kochanowskiego, parę pytań do takiego się odnoszących; pisałem później o nich do pana prof. Przyborowskiego. Ustnie pan Löwenfeld przyklasnął propozycyom moim; listownie zaś p. Przyborowski wyraził też zgodę i zawiadomił mię, że i sam jedną z rad moich już wnosił; ale jakoś nie widać, aby Komitet do uwag tych chciał się przychylić; a co do myśli Słownika (o czem niżej), pisze mi p. Przyborowski, że większość Komitetu nawet była jej przeciwną.

Uciekam się tedy do pośrednictwa druku, aby uwagi moje szerszym kołom dać poznać i jeżeliby znalazły poparcie ludzi kompetentnych, skłonić może Komitet do ponownego ich rozpatrzenia. Ma się rozumieć, iż nie nastawałbym na to, gdybym nie był przekonany o ich słuszności.

Wnioski moje trzy są następne:

Naprzód. Komitet w pisemku p. t. *Czynności przygotowawcze do pamiątkowego wydania dzieł Jana Kochanowskiego* oznajmuje, iż „każdy utwór... opatrzony zostanie u dołu przypiskami, obejmującemi objaśnienia szczegółnych ustępów, zwrotów i wyrazów, na wzór wydań starożytnych klasyków" i t. d. Później zaś pan Plenkiewicz podał próbkę takiego opracowania „Muzy" Kochanowskiego „podług zasad, przyjętych przez Komitet do wydawnictwa pomnikowego dzieł poety" w nr. 238 roku 1880 *Tygodnika Illustrowanego*.

Otóż ten sposób opracowania, o ile dotyczy wyjaśniania zwrotów i wyrazów, wydaje mi się nieuzasadnionym. Rzecz jasna bowiem, że różni współpracownicy w różnych miejscach spotykając te same zwroty i wyrazy, objaśniać je będą musieli każdy raz na nowo i może nie zawsze jednostajnie. Przypuśćmy np., że w jednym utworze wytłumaczyć trzeba będzie taki zwrot jak: „nie prawieś z ojczyzny swej w szczęsną chwilę wzięta;" w innych pismach Kochanowskiego nie raz i nie dwa podobne użycie zwrotu *nie prawie* spotykamy. Więc w każdem miejscu, gdzie ten sposób mówienia się znajdzie, każdy komentator będzie musiał na własną rękę objaśniać. To samo się stosuje i do mnóstwa innych zwrotów i wyrazów; są słowa, dzisiaj nieużywane i wielkiej części nawet ukształceńszej publiczności nieznane, które dajmy na to trzydzieści razy w dziełach Kochanowskiego się trafią; więc w „pomnikowem" ich wydaniu spotkamy trzydzieści objaśnień jednego i tego samego wyrazu!

Zaradzić temu można w bardzo łatwy, praktyczny i nieraz już do innych autorów stosowany sposób: ułożeniem „Słownika do pism Kochanowskiego," jak są słowniki do dzieł Homera, Sofoklesa, Sallustiusza, Horacego i wielu innych. W słowniku takim pod każdym wyrazem wskazaćby należało gdzie, w jakim utworze i w którym jego wierszu, w jakim związku i znaczeniu dany wyraz jest użyty; toż samo uczynićby należało i ze zwrotami. Słownik ten dodaćby się do obu wydań i ogłosićby się oddzielnie. Byłby to z jednej strony łatwy i jasny komentarz językowy do dzieł poety, a z drugiej nieoceniony przyczynek do słownictwa i dziejów języka naszego. Ułożenie takiego słownika prócz tego oszczędziłoby znacznie pracy komentatorom i zmniejszyłoby może o połowę objętość dzieła, a zatem i cenę jego. Zresztą, każdy to pojmuje, wyraz objaśniony w słowniku licznemi przykładami, we wszystkich swych znaczeniach, o ileż jaśniejszym się staje dla czytającego od jeden raz, pod pewnym jedynym kątem oglądanego.

Powtóre. Wyżej wymieniona odezwa p.t. *Czynności przygotowawcze* zapowiada dwa wydania, większe i mniejsze popularne. Z tego ostatniego orzeczenia wnosić należy, iż większe będzie dla ukształceńszych. Otóż rodzi się pytanie: kto więcej potrzebuje objaśnień historycznych, mitologicznych, językowych i t. p., czy czytelnik dzieł „popularnych," czy „nie popularnych?" Oczywiście im niższy jest poziom umysłowy czytającego, tem więcej potrzebuje on komentarzy, aby zrozumieć poetę przed trzystu laty zmarłego, którego życie upłynęło wśród ludzi i warunków zgoła niepodobnych do dzisiejszych, który myślał i mówił dosyć różną od dzisiejszej mową. Zdaje się przeto, iż wszelkie objaśnienia największej dla wydania popularnego przydaćby się powinny.

W zapowiedzi Komitetu jednakże spotykamy coś zupełnie przeciwnego: większe wydanie ma być wzbogacone wszelkiego rodzaju komentarzami, a mniejsze zupełnie ich pozbawione.

Myślałbym, iż powinnoby być właśnie na odwrót: wydanie większe, przeznaczone dla literatów i ludzi wyższego ukształcenia, powinnoby mieścić tylko objaśnienia specyalnie do Kochanowskiego i jego stosunków się odnoszące; mitologiczne, historyczne, starożytnicze i t. p. pozostawićby należało własnej erudycyi lub zaradności czytelnika; podobnież i językowe, wyjąwszy tylko zdarzenia wyjątkowe: niezwykłą rzadkość lub trudność wyrazu albo zwrotu, rozmaitość kodeksów, błędy drukarskie sens zmieniające i t. d. Przeciwnie zaś, wszystkie promienie egzegetyczne skupićby należało na wydanie popularne, boć tylko jego czytelnicy potrzebowaliby nieustannej wskazówki i wielolicznych komentarzy.

Po trzecie. Komitet zamierza użyć pisowni niezwykłej do objaśnień większego i do całego mniejszego wydania. Nie tu miejsce wchodzić w rozprawy o jej zaletach lub przywarach. Zdawaloby się mnie jednak, iż skoro wydanie wniejsze ma być popularnem, to i pisownię w niem należałoby użyć „popularną," gdyż co do ortografii naszej *lis adhuc sub judice est*, więc może najlepiej tymczasem, nim się sprawa stanowczo nie rozstrzygnie (jeżli może być o tem mowa), trzymać się wulgaty, czyli pisowni utartej, potocznej, bo i ona przecie jest wyrobem cywilizacyjnym, z którym raptownie zrywać nie wypada.

Jan Karłowicz.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Goniec urzędowy ogłosił rozporządzenie, aby w miastach prowincyonalnych, gdzie niema komitetu cenzury, obowiązki ich spełniali wicegubernatorowie.

— Dr. St. Markiewicz miał szczęśliwą myśl, poruszając projekt urządzenia kolonii wiejskich letnich dla ubogich dzieci miejskich. Z wielu stron zamożniejsi obywatele ziemscy oświadczają gotowość przyjmowania do siebie na lato słabowitych dzieci warszawskich, zapewniając im dozór i żywność. W r. 1882 będzie już może 7 do 8 takich stacyj. Najstosowniejsze do tego są wsie, położone blisko kolej żelaznych. Kilka izb, nabiał, warzywo, słoma do sienników i jakaś nadzorczyni np. żona oficyalisty dworskiego, oto wszystko, czego potrzeba do urządzenia takiej kolonii.

— Według dokonanych obecnie obliczeń, samobójstw w Królestwie Polskiem, oprócz Warszawy, było w 1879 r. 143, z tego mężczyzn 108, reszta kobiety.

Nauki. Prof Haeckel, znany darwinista, wykładający zoologię w uniwersytecie jenajskim, przybył 21 listopada do miasta Colombo na wyspie Ceylon, gdzie ma pozostać w celach badań naukowych.

— Z szeregu odczytów przyrodniczych odbyły się następujące: profesora Trejdosiewicza „O okresie węglowym," p. Znatowicza „Węgiel w przyrodzie nieożywionej. Milicera „Azotowe związki węgla" i Lepperta „O sztucznem otrzymywaniu związków organicznych."

— Zbiór numizmatów, skradziony z warszawskiej biblioteki Zamojskich, został w części odnaleziony.

— Czytelnia uczniów Instytutu Techniczno-przemysłowego w Krakowie, istniejąca od r. 1878, miała w r. b. 38 członków, 270 zlr. dochodu rocznego, a 260 zlr. rozchodu.

Szkoły. W ministerstwie oświaty zapadła decyzya otworzenia przy wszystkich gimnazyach i progimnazyach w Królestwie Polskiem klas równoległych. Urzeczywistnienie tej niezmiernie ważnej reformy zależy jeszcze od ministerstwa finansów, które zatwierdzić ma wyasygnowanie potrzebnych na to funduszów.

— W Instytucie Górniczym w Petersburgu wprowadzono obecnie dla wszystkich studentów uczęszczanie obowiązkowe na prelekcye i półroczne repetycye.

— W ministerstwie oświaty w Petersburgu przygotowano budżet na rok 1882. Wszystkie wydatki wynoszą ogółem rs. 17,917,670, czyli w porównaniu z r. b. (rs. 17,382,870) o rs. 534,800 więcej. Na owo zwiększenie sumy wydatków wpłynęło głównie oddanie pod zarząd ministerstwa oświaty niektórych zakładów naukowych, zależnych dotąd od ministerstwa finansów. Wykazana powyżej ogólna suma rozchodu rozpada się na działy następujące: na utrzymanie uniwersytetów rs. 2,509,844, zakładów naukowych średnich rs. 5,665,266, szkół realnych rs. 1,768.793, szkół mniejszych i powiatowych rs. 1,374,370, szkół elementarnych i parafialnych rs. 254,623, szkół ludowych rs. 1,685,997; w cyfrze tej mieści się suma rs. 589,249 przeznaczona na utrzymanie dyrekcyj i inspekcyj szkół ludowych, dalej na utrzymanie instytucyj historyczno-filologicznych wraz z znajdującymi się przy nich gimnazyami rs. 250.031, na utrzymanie instytutów nauczycielskich, seminaryów i szkół rs. 1,096,051. Wydatki na instytucye naukowe wynoszą w r. przyszłym rs. 634,643, przyczem na utrzymanie akademii nauk przeznaczono rs. 295,266, obserwatoryów głównego mikołajewskiego i wileńskiego rs. 106,126 i na utrzymanie obserwatoryów meteorologicznych i magnetycznych powłowskiego i pekińskiego rs. 67,302. Wreszcie na pensye dla ministra i jego towarzysza asygnowano rs. 28.910 a na zarząd główny rs. 191,519. Co się tyczy dochodu czystego, spodziewanego w roku przyszłym, to takowy wynieść ma ogółem sumę rs. 2,185,547.

Przemysł, handel i komunikacye. *Goniec urzędowy* ogłosił rozkaz cesarki do Rady Państwa, dotyczący wybicia monety brzęczącej 48-ej próby na sumę 6,000,000 rs.

— Na kasy pożyczkowe rzemieślnicze w Warszawie p. Władysław Zbyszewski, wice-prezes Banku lugduńsko-loarskiego dał rs. 2.000. Wszystkie fundusze złożone dotąd na pomienione kasy rzemieślnicze wynoszą ogółem rs. 21.217 kop. 18½.

— Starania presesa Banku Polskiego o pozwolenie rządu powiększenia kapitału zakładowego tej instytucyi kredytowej nie odniosły skutku.

Konkurs. Komitet wydawniczy dzieł Jana Kochanowskiego, pragnąc uczcić pamięć wieszcza z powodu zbliżającej się trzechsetnej jego zgonu rocznicy przedstawieniem scenicznem *Odprawy posłów greckich*, z którego osiągnięty dochód fundusze nakładowe powiększyć, postanowił zarazem ogłosić konkurs na poemat, przeznaczony do deklamacyi w czasie widowiska, wyznaczając jako nagrodę rubli sto, oraz asygnacyę na ozdobny egzemplarz wydawnictwa, opatrzony imienną dedykacyą dla autora utworu, za najlepszy przez komitet konkursowy uznanego. Poemat uwydatnić miał: „główniejsze cechy charakteru poety, jako człowieka i twórcy, oraz przedstawić ważniejsze jego życia koleje w domu, w rodzinie i w kraju.“ Poemat taki, zaszczycony pierwszą nagrodą, miał się stać własnością komitetu wydawniczego; utwór zaś drugi, uznany za najlepszy po premiowanym, otrzymać asygnacyę na egzemplarz wydania ozdobnego, również z dedykacyą imienną, oraz z pozostawieniem autorowi prawa własności. Na sędziów konkursu zaproszono pp. L. Janike, K. Kaszewskiego, J. Królikowskiego, A. Pietkiewicza i R. Plenkiewicza. Nadesłano utworów 29, z tych trzy zostały wyłączone z powodu niedopełnienia warunków, z pozostałych zaś 26 wybrano trzy.

Pierwszy z godłem: „Szczęśliwy, co wśród zawodu legł świetnym wiedzion zapałem“ najlepiej odpowiadał warunkom konkursu; drugi z dewizą „Sub rosa“ nie wyrażał wszystkich stron działalności poety, ale posiadał największą wartość artystyczną; trzeci — „Ad astra“ odznaczał się również pięknościami poetycznemi. Ponieważ na główną nagrodę zasługiwały (chociaż z różnych względów) dwa pierwsze utwory, sędziowie zatem, po porozumieniu się z komitetem wydawniczym, przyznali ją obu (po rs. 100), trzeciemu zaś akcesyt. Autorem pierwszego okazał się Stefan z Opatówka, drugiego zaś i trzeciego p. M. Konopnicka.

Sztuki piękne. Postanowiono urządzić w Paryżu w r. 1882 Wystawę sztuk pięknych zastosowanych do rzemiosł.

— W Petersburgu budzi ogólne zajęcie świeżo wystawiony na widok publiczny nowy obraz malarza Suchorowskiego, przedstawiający Nanę. Obraz ten przedstawia piękną nagę kobietę, leżącą na otomance okrytej skórą tygrysią.

— Na wystawę Tow. zach. szt. pięknych przybyły następujące nowości: Godeckiego dwa popiersia dzieci i portret gipsowy autora „Czartowskiej ławy,“ Horowica portret damy, Łaszczyńskiego Wybrzeże Sorento, Maleszewskiego „Ecce homo“, Tombińskiego Portret Modrzejewskiej (medalion drewniany), oraz Jana Wojdygi Portret Lelewela (z gipsu).

— W Charkowie odebrała sobie życie przez otrucie się fosforem z zapałek pierwszorzędna artystka dramatyczna teatru miejscowego p. Kadunn.

Bibliografia polska. Kraszewski, *Szalona*, powieść w dwu tomach, Warszawa, T. Paprocki i Sp. Jest to drugie wydanie z *Ateneum*.

— *Ateneum* i *Biblioteka Warszawska*, zeszyt za grudzień.

— *Słownika Geograficznego* zeszyt 24, zawierający artykuły od *Gruździe* do *Gżack*, oraz spis powiatów i spółpracowników.

— J. Wołowski *Pod wiejskim dachem*, komedya w 5 aktach, Warszawa.

— J. W. Draper *Dzieje stosunków wiary do rozumu*, tłom. J. Karłowicz. Warszawa, Polak.

— J. Szujski *Opowiadania i rostrząsania historyczne*, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— W. Przyborowski, *Bitwa pod Raszynem*, powieść historyczna dla młodzieży, z ilustracyami, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— L. Jacoillot, *Tajemnice Afryki*, z 32 ilustracyami, tłom. K. Jurkiewicz, Warszawa, Gebethner i Wolff.

O dziełach tych pomówimy szczegółowo.

— Prof. Smolka wydał w Krakowie dzieło p. t. *Uwagi o pierwotnym ustroju społecznym Polski Piastowskiej*.

— Pod tytułem *Świat ilustrowany* zaczęło w wiedniu wychodzić od 1 października pismo polskie pod redakcyą p. Andrzeja Odrowąża. Pismo to zowie się na okładce „pismem familijnem ku zabawie i nauce dla wszystkich stanów,“ składa się jednak wyłącznie z samych powieści i noweli.

Teatr. Kierownictwo teatru polskiego w Poznaniu objął zgodnie z wolą akcyonaryuszów p. Lucyan Kościelecki. P. Doroszyński, usunąwszy się od tych obowiązków, udaje się z częścią swej dawnej trupy do Kalisza. Ponieważ kontrakt p. Doroszyńskiego nie był jeszcze upłynął, przeto spółka teatru w Poznaniu wytacza mu proces.

— P. Deryng, który na pewien czas zawiesił wykłady w swej szkole dramatycznej i powraca do Warszawy, na nowo je rozpoczynie. W ostatnim czasie dawał przedstawienia dramatyczne w Kaliszu, lecz zrażony niepowodzeniem rozwiązał swe towarzystwo.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. Szcz. Do historyi literatury polskiej praca Kuliczkowskiego, Rycharskiego, lub kończąca się w druku Spasowicza. Do dziejów — Bobrzyński lub Szujski

P. A. F. w Wysokiem M. Odebraliśmy.

P. K. W. w Kaliszu. Dobrze, aby nie o teatrze i straży ogniowej.

P. L. M. w P. Brak przedmiotów szerszego znaczenia, na które by się energia myśli zużyć mogła, powoduje tam tedrobne szermierki. Gdy koty nie łapią myszy, gryzą się z sobą.

— *P. Józefie B. w Kijowie.* Wierzymy, że tak być mogło, że tak było, ale czyż to racya, ażeby fakt zwykły przelewać w powieść?

P. R. St. Nie.

P. Alanowi. Nadętość nie jest wzniosłością.

P. Michałowi Ł. Widocznie jesteś Pan od kraju bardzo daleko, skoro przypuściłeś, że to jest możliwem.

P. St. Kir. w Warsz. Piszą to, co należy robić, a nie robią tego, co należy pisać. Wyczerpane.

Sprostowanie. W nrze poprzednim str. 578, szp. 2, w art. „Stracony nakład“ w. 8 zam. *przeszło* czyt *blisko*, str. 579, szp. 3. w. 27 zam. *było* czyt. *była*.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Ценэурою. Варшава, 27 Ноября 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.